

23, rue Talbott, PARIS 9^e

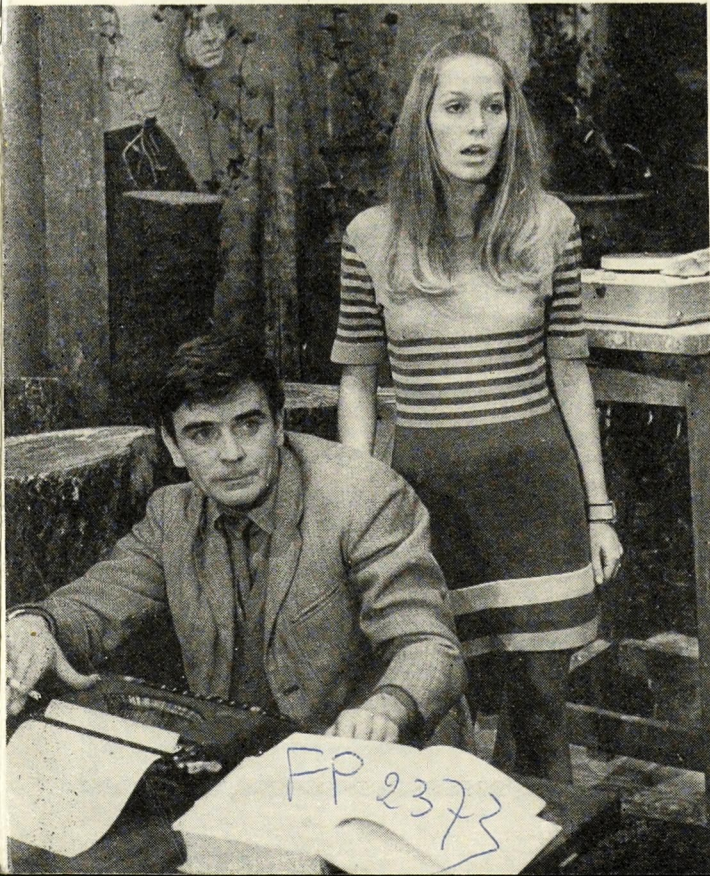
CENA 0,80 F.
PRIX 7 F. B.

21 września 1969
septembre

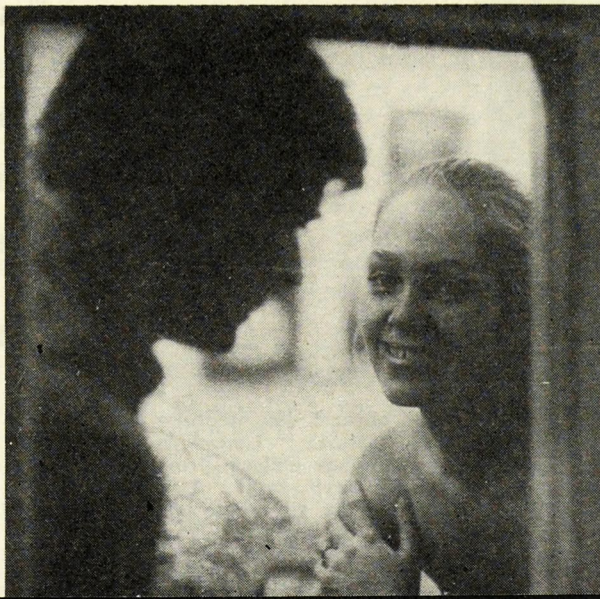
Rok wydania · XII Nr 38 (622)

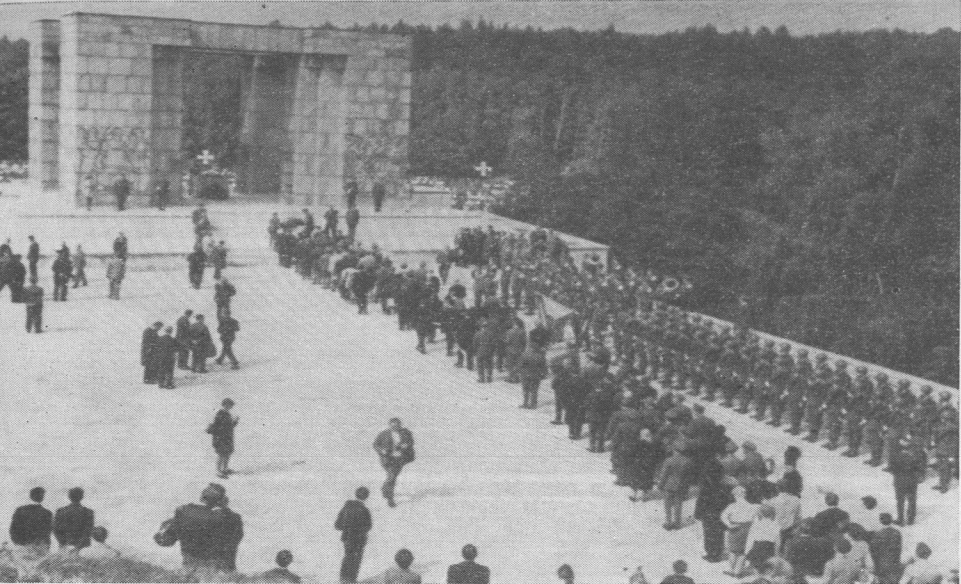
Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE



**MAŁGORZATA BRAUNEK
NOWA GWIAZDA
POLSKIEGO FILMU
ODKRYTA W CANNES**





Cała Polska, a z nią cały postępowy świat, uroczyście uczciła pamięć tych, co zginęli podczas II wojny światowej. W dniu 1 września jeszcze raz zmanifestowano stanowczo: nigdy więcej wojny! Nie dopuścimy!



Na uroczystości związane z 30 rocznicą agresji na Polskę, na zaproszenie przewodniczącego Rady Państwa PRL Mariana Spychalskiego przybył z wizytą przyjaźni prezydent Czechosłowacji Ludvík Svoboda. Był on twórcą pierwszej regularnej jednostki wojskowej czechosłowackiej armii ludowej, która przed 30 laty rozpoczęła w Polsce walkę z hitlerowskim najeźdźcą. W swym przemówieniu na wielkim wiecu antywojennym ludności Warszawy — L. Svoboda powiedział m. in.: „O męstwie i bohaterstwie patriotów polskich świadczy również to, że wojska nazistowskie straciły w Polsce tylu żołnierzy, co w swych następnych wyprawach wojennych w Europie do wiosny 1941 r. Do wyeliminowania z walki jednej polskiej dywizji potrzebowały one 3, 5 razy więcej amunicji niż dla zniszczenia podobnej jednostki na froncie zachodnim wiosną 1941 r.” Prezydent Czechosłowacji odwiedził szereg miast polskich w towarzystwie przewodniczącego Rady Państwa M. Spychalskiego. Na zdjęciu — na Rynku w Krakowie



Dużym powodzeniem wśród turystów odwiedzających Zagórze (Bieszczady) jest prywatne muzeum p. M. Smólskiego, posiadające tysiąc bardzo ciekawych eksponatów



Prasa skandynawska donosiła o wypadkach poparzenia rybaków przez gazy bojowe, leżące na dnie Bałtyku. Trzech polskich marynarzy też padło ofiarą gazu podczas polowu. Oto jeden z nich z klinice



Polska kinematografia coraz więcej realizuje filmów w koprodukcji. Ostatnio w Łodzi kręci się film „Sygnały” wraz z ekipą NRD. Otwór polska aktorka Irena Karel w efektywnym skafandrze kosmicznym



Warszawa ma swój tartan! W Stolicy do użytku w końcu sierpnia oddano bieżnię tartanową. Inauguracyjnym był międzynarodowy mityng lekkoatletyczny. Uczestnicy bardzo sobie chwalili jakość bieżni, choć polski gumolit jest lepszy



Taki obrazek już niedługo będzie historią. Coraz więcej Cyganów w Polsce prowadzi osiadły tryb życia. A grają pięknie, aż się serce raduje

W NASTĘPNYM NUMERZE

przeczytacie między innymi:

- o nowym polskim filmie pt. „Sąsiedzi”
- o polskim zespole tanecznym z Bostonu
- o sprawach prywatnych Ireny Kirszensztein-Szewińskiej
- jak zwykle: felieton Grzybka, kącik filatelisty, ciekawostki dla młodzieży, rady od serca, nowa moda i wiele innych reportaży, artykułów i opowiadań oraz: „Małżeństwo Pana Paska”

Kim był Imć Pasek?

Zgodnie z zapowiedzią w numerze dzisiejszym rozpoczynamy drugą serię przygód Imć Pana Paska z Gosławic, szlachcica z Ziemi Rawskiej, ujętych w formie opowieści rysunkowej. Pierwsza seria dotyczyła wojennych dziejów Paska w walkach ze Szwedami na ziemi duńskiej pod dowództwem Stefana Czarnieckiego. Nadaliśmy jej tytuł „Kawaleria na okręty”. Druga jest w swej treści czymś całkowicie odrębnym. Dotyczy pokojowego życia naszego bohatera, kiedy jako rolnik dzierżawca żeni się, gospodaruje i poluje. Nosi ona tytuł „Małżeństwo Pana Paska”.

Całość opowiadania, zilustrowanego rysunkami artysty W. Dyczyńskiego, oparta jest na autentycznym pamiętniku Paska i innych dokumentach z XVII w. Przez długie lata nie chciano wierzyć Paskowi, że to, co napisał, było prawdą, ale nauka historii i literatury rozstrzygnęła rzecz na jego korzyść, choć w ocenach swych, a także w datkach nieraz się mylił, wspomnienia swe pisał bowiem dopiero na starość.

A teraz, zanim zajrzycie na ostatnią stronę do pierwszego odcinka „Małżeństwa Pana Paska”, przeczytajcie jeszcze kilka wypowiedzi na temat autora Pamiętników i jego dzieła.

Adam MICKIEWICZ (1798 — 1855, w wykładach w Collège de France):

„Żeby tak pisać, trzeba było żyć podobnie, życiem pełną czynności i przygód; trzeba było nawet mieć strój ówczesny. Gdyby kto chciał zrobić wydanie rytownicze jego dzieła (ilustrowane — przyp. red.), zamiast przecinków i kropek nieuczynnych w piśmie, gdzie nie masz ani okresów ani periodów książkowych, powinien by wymyślić jakieś znaki, pokazujące np., że w tym miejscu mówca podkreślił wagę, w tym porwał się do szabli; bo takie poruszenia zastępowały słowa, wyrażały myśli...”

Aleksander KRAUSHAR (1843 — 1931, historyk Warszawy):

„Rękopis Paska znany był uczonym polskim już dawniej. Tutaj się on po redakcjach, drukowano jego utwórki, lecz nikomu nie przychodziło na myśl, aby dotrzeć do źródła pochodzenia Pamiętników, do osoby autora. Kiedy w 1821 r. w Warszawie zaczęto wychodzić pismo „Astrée” w dziale historii i materiałów do dziejów polskich wydrukowano tam fragment z Pamiętników Paska, z ominięciem nazwiska autora... a jedynie jako „jednego z obywateli polskich, który żył pod panowaniem czterech królów — znaczną część życia strawił na usługach wojennych...”

Jan CZUBEK (1849—1932) profesor UJ, który pierwszy naukowo zbadał rękopis Paska:

„O życiu Jana Chryzostoma Paska przed jego osiedleniem się w Krakowskim wiemy tylko tyle, co sam o sobie napisał, a ponieważ początkowe karty rękopisu zaginęły, więc ani roku, ani miejsca jego urodzenia nie znamy... Uwierzyć sławą wojownika, co to szukał śmierci w młodym wieku swoim, i za Dnieprem i za Dniestrem i za Odrą i za Łabą i koło Oceanu i Bałtyckiego Morza, tegi rebasec zarówno, jak i orator, mający „ze sobą gębę i konceptu pod dostatkiem”, musiał być nasz Pasek pożądanym sprzymierzeńcem i mile widzianym towarzyszem biśiadnym...”

Ignacy CHRZANOWSKI (1860 — 1940, historyk literatury, prof. UJ, zamordowany w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu):

„Tak żywo i barwnie, tak naturalnie i zamaszycie, z takim humorem błaznowatym, ale szczerym i naprawdę zabawnym — nie umiał opowiadać nikt, chyba tylko jeden Zagłoba”.

Dalszy ciąg na str. 4

„Sercem i myślami jestem w Polsce”

JEAN PAUL PALEWSKI O ROCZNICY WRZEŚNIA

W 30 rocznicę napadu hitlerowców na Polskę na łamach prasy krajowej zabrano głos wiele znanych osobistości z krajów Europy zachodniej. Przypomnieli oni raz jeszcze dzieje września 1939 z perspektywy minionych lat.

Deputowany we Francuskim Zgromadzeniu Narodowym Jean Paul Palewski jest przewodniczącym francusko-polskiej grupy parlamentarnej. W jego pracowni i aktywnym życiu Polska i jej sprawy zajmują dużo miejsca. Z racji pochodzenia rodziców i przede wszystkim serdecznych uczuć dla Polski, nie szczędzi wysiłków — jak mówi, by służyć nie tylko Francji, ale i Polsce.

Poniżej zamieszczamy wypowiedź tego świetnego prawnika, znanego i cenionego polityka, jaką opublikowało „Życie Warszawy”.

Niech więc tych kilka słów ode mnie będzie potwierdzeniem — mówi z żalem deputowany Jean-Paul Palewski — że sercem i myślami będę w Polsce w tych dniach, gdyż rocznica Września jest mi szczególnie bliska. Pamiętam, jak dziś, wrzesień 1939 roku. Wiedzieliśmy przecież we Francji, że Niemcy hitlerowskie wywołają kolejny konflikt. I oto tak bliska wszystkim Francuzom Polska stała się kolejną ofiarą hitlerowskiej agresji. Fakt ten wstrząsnął wszystkimi Francuzami. Francja była zdecydowana dotrzymać w stosunku do Polski swych zobowiązań, lecz mimo upływu 20 lat od zakończenia I wojny światowej, jej skutki ciążyły jeszcze bardzo nad krajem.

Pamiętam — wspomina pan Jean-Paul Palewski — że w sierpniu wracając pod wieczór do domu w okolicy Saint-Germain. Dzieci były jeszcze małe i nie rozumiały niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad światem, dziwiły się reflektorom na straży parryskiego nieba. Nie mogły sobie wyobrazić, jak taka wojna wygląda. Już za kilka chwil dała im jednak pierwszy smak — musiałem stawić się do swojego pułku bretońskiego.

Było to 28 sierpnia. Wśród żołnierzy nie było wtedy entuzjazmu, zbyt do brzo pamiętano jeszcze w rodzinach poprzednią wojnę. Niemniej byliśmy gotowi do walki. Niestety, nie mieliśmy sprecyzowanej koncepcji strategicznej i oto Polska po krwawych zmaganiach padła. Ta tragedia Polski wstrząsnęła nami...

Niestety — mówi dalej deputowany — po klęsce Polski Niemcy hitlerowskie miały dość czasu, by przygotować nowy front. Tym razem kolej przysłała na Francję. Dowiedziałem się o powstaniu we Francji armii polskiej. Był tam generał Prugar-Ketling, mój przyjaciel, jeszcze z armii Hallera, do której trafiłem z racji swego nazwiska i w której nauczyłem się języka polskiego. Poprosiłem o zgodę w swoim pułku i stanąłem do walki przeciwko Niemcom hitlerowskim u boku Polaków, w dywizji generała Prugara, którego wysoko ceniłem. Walczyliśmy pod Belfort w rejonie Jura i niestety już wkrótce byliśmy zmuszeni przerwać walkę. Byłem internowany w Szwajcarii, lecz wkrótce znów znalazłem się na terenie Francji, by kontynuować walkę prze-



ciwko wrogowi Francji i Polski we Francuskim Ruchu Oporu.

Gdy dziś wracam myślami do tragicznych dni września 1939 roku — mówi na zakończenie pan Jean-Paul Palewski — od których rozpoczęły się lata śmiertelnego zmagania z wrogiem hitlerowskim, jeszcze bardziej wydaje się konieczne wzmocnienie naszych wysiłków, by tragedia się nie powtórzyła. Wszystkich środków trzeba użyć, co głoszę już od lat, wszystkich możliwości dyplomatycznych, parlamentarnych, by temu zapobiec. Temu celowi służy też polityka Francji pragnącej pokoju i bezpieczeństwa opartego na wzajemnym poszanowaniu i porozumieniu. Temu samemu celowi służy też polityka dzisiejszej Polski.



W ZWIĄZKU Z BUDOWĄ POMNIKA
CENTRUM ZDROWIA DZIECKA
W STOLICY POLSKI

O SOLIDARNOŚĆ W REALIZACJI SŁUSZNEGO CELU

Z WZRUSZENIEM czytalem w „Tygodniku” przed kilkoma tygodniami artykuł pt. „Więź wspólnoty”. Temat poruszony uważam za bardzo ciekawy i pozwalał sobie dołączyć mój głos.

Uważam, że całkiem słusznie, zamiast stawiać pomnik kamienny, by uczcić pamięć pomordowanych dzieci, wybrany komitet postanowił zbudować wielki i trwały pomnik w formie nowoczesnego, wszechstronnego szpitala pediatrycznego — największego zakładu leczniczego tego typu w Europie.

Dowiadujemy się, że już płyną na specjalne konto dary nie tylko z miast i wsi polskich, ale również i od Rodaków z różnych krajów. Uważam, że Wychodźstwo we Francji powinno także brać masowy udział w tej szlachetnej akcji. Cieszę się, gdy stwierdzam z notatek zamieszczanych w „Ty-

godniku Polskim”, że nasi Rodacy z Francji dokładają cegiełki, każdy w miarę swych możliwości, aby wziąć udział we wspólnym dziele. Pięknie byłoby, aby dzięki naszym ofiarom chociaż jedna sala w tym monumentalnym szpitalu powstała dzięki patriotyzmowi Polonii francuskiej. Wiemy, że Wychodźstwo nasze odpowiadało zawsze: „Jestem!” na każdy apel z Kraju wzywający do słusznego dzieła. Jestem więc pewny, że i tym razem będzie ono obecne przy wznoszeniu Domu Dziecka w Warszawie.

Warto przy tej okazji przypomnieć, że kiedy w Polsce rzucono hasło: „Tyś się Szkół na Tysiąclecie”, nasze Stowarzyszenie Obrony Granic na Odrze i Nysie wybrało Gdańsk i w mieście tym postanowiło przyczynić się do budowy szkoły-pomnika Tysiąclecia. Zależało naszemu Stowarzyszeniu na tym, aby właśnie w Gdańsku powstała szkoła-symbol, aby podkreślić przywiązanie Francuzów polskiego pocho-

dzenia do tego rodzaju akcji. Zamiar udało się nam wykonać. Potrafiliśmy pozyskać udział Polaków i Francuzów, którzy widzieli w podjętej akcji symbol przyjaźni polsko-francuskiej. Rada Krajowa „Odry-Nysy” wydała wówczas kartę solidarnościową na budowę szkoły.

Z wielkim zapałem przystąpili na terenie Francji wszyscy działacze Stowarzyszenia do zbiórki. Fundusze uzyskane ze sprzedaży cegiełek przekazano do Polski i wiele osób spośród ofiarodawców otrzymało dyplomy zaślęgi.

Gdy budowa została zakończona, na otwarcie jej wyjechała do Gdańska nasza delegacja. Szkoła nosi imię Marii Skłodowskiej-Curie, znakomitej uczonicy, która kochała dwa kraje — starą i nową ojczyznę. Uroczystość otwarcia była dla nas wielkim prze-

Dokończenie na str. 4

Kim był Imię Pasek?

Dokończenie ze str. 3

Tu mała uwaga. Dla Sienkiewicza Pamiętniki Paska były do Trylogii jednym z podstawowych źródeł. Czerpał też z nich pełnymi garściami.

Władysław CZAPLIŃSKI (prof. Uniw. we Wrocławiu we wstępie do najnowszego wydania Paska):

„Krótkie wzmianki rozsypane w Pamiętnikach wskazywały od dawna, że pewną część czasu zajmowały Paskowi również sprawy sądowe. Trzeba było jednak całej dociekliwości historycznej i żmudnych poszukiwań archiwalnych przedsięwziętych przez Czubka, by odsłonić należycie tę stronę życia dawnego towarzysza pancernego. Dzięki pracy Czubka wiemy dziś, że sprawy naszego pamiętnikarza nie schodziły prawie z wokandy sądów krakowskich... i że w końcu za dokonywane gwałty „został on ogłoszony banita. Jedynie słabość władzy wykonawczej w ówczesnej Polsce sprawiła, że choć banita, umarł spokojnie w kraju w roku 1701.”

Julian KRZYŻANOWSKI (prof. Uniw. Warsz. w „Dziejach literatury polskiej” wydanych w 1969):

„Pamiętnikarz ten to urodzony gwędziarz, a zarazem doskonały obserwator ludzi, z którymi się stykał, i spraw, w których brał udział w toku swego bogatego w przygody życia. Przygody te są dlań niepośledniej wagi, czy to będzie pielgrzymka do miejsca odpustowego, czy bitwa z nieprzyjacielem lub bójka z przypadkowym przeciwnikiem, wycieczka morska czy historia Robaka, sławnej wydry ofiarowanej królowi jego mości. To, co historyk pominąłby milczeniem jako szczegół obojętny, w opowiadaniu Paska ożywa, nabiera ruchu, mieni się barwami i przemawia głośno a zajmująco. Zaobserwowane drobności, ważne i nieważne, nocleg na trupie, któremu w brzuchu kruczy, pijacka rabanina z sąsiadami, pobicie paza Mapezy na komnatach królewskich... wręcz przesyła się o ołówkę dobrego rysownika.”

Znaleźliśmy go! Jest nim Włodzimierz DYBCZYŃSKI. W jego ujęciu przedstawiamy przygody Imię Jana Chryzostoma Paska z Gosławic. Już w tym numerze na ostatniej kolumnie! Oglądajcie i czytajcie!

Listy do redakcji

JAK PRZESTAŁEM PALIĆ

SZANOWNNA REDAKCJO!

Pragnę zabrać głos na łamach naszego ulubionego polskiego pisma, jakim jest „Tygodnik Polski”, by podzielić się z Czytelnikami moimi doświadczeniami, w jaki sposób pozbyłem się tak szkodliwego dla zdrowia nałogu, jakim jest palenie papierosów.

Nie chciałbym, aby posądzono mnie, że jestem propagandystą jakiejś firmy czy ośrodka prowadzącego akcję antytytoniową. Nie będę też powtarzał tego, co w „Tygodniku” nr 16 (600) z dn. 20 kwietnia br. napisano na temat działalności pierwszej w Polsce poradni antytytoniowej w Poznaniu, ale napiszę tylko o tym, jak sam przestałem palić.

Od mego 40-letniego syna, który wypalał 40 papierosów dziennie dowiedziałem się, że sprowadził 100 sztuk pastylek „Nico-Cotyl”, użył 72 i — pozbył się nałogu. Ja zastosowałem się wówczas do rady prof. Józefa Grana-

towicza z Poznania i całą siłą woli postanowiłem również wstrzymać się od palenia. Przede wszystkim odmówić sobie należało pierwszego papierosa z rana, wypalanego na czczo. Gdy zaprzestałem palenia rano, zacząłem się zmuszać do wstrzymywania się od palenia po śniadaniu. Gdy organizm dopominał się gwałtownie nikotyny, brałem pastylki „Nico-Cotyl”, których resztę ofiarowałem mi syn. Pierwszego dnia zużyłem 6 pastylek, następnie 5, 4 i resztę w ciągu następnych dni po posiłku. Potem pastylki zastąpiłem cukierkami o smółowym smaku.

Obecnie jestem już naprawdę szczęśliwy, bo pozbyłem się nałogu, który jest szkodliwy. Mam 65 lat, a wypalałem 27 paczek papierosów na kwartał. Zachęcam innych Czytelników-palaczy, aby poszli w moje ślady.

Łączę serdeczne pozdrowienia dla Redakcji.

Jean DWORNICZAK
(Marles-les-Mines)

O SOLIDARNOŚĆ W REALIZACJI SŁUSZNEGO CELU

Dokończenie ze str. 3

życiem. Wśród osobistości, które na nią przybyły, obecny był wiceprezident Zarządu Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich ambasador Jan Izydorczyk, który wygłosił przemówienie i wyraził, w imieniu Polski Ludowej, wdzięczność ofiarnej Polonii i Stowarzyszeniu. Czyn ten upamiętnia zresztą tablica pamiątkowa wmurowana w ścianę szkoły.

W czasie przyjęcia w Radzie Narodowej przypadł mi w udziale zaszczyt przemawiania. Patrząc na dzieci, zebrane na uroczystości i otaczające naszą delegację, rozplakałem się, ponieważ przypominały mi się dzieci moich braci i sióstr, pomordowanych przez

hitlerowców. Opanowałem się jednak i zwracając się do dzieci mówiłem o tym, że moim marzeniem było zawsze wychowanie człowieka pełnowartościowego, zdolnego oddać bez reszty wszystkie swoje siły ojczyźnie.

Przypominam tę uroczystość, aby zachęcić Czytelników „Tygodnika Polskiego” do brania udziału w akcji zbiorczej na przyszły pomnik — Centrum Zdrowia Dziecka, który ma być wzniesiony w Polsce. Uważam, że powołany być powinien do tego celu specjalny komitet, w którym znaleźliby się ludzie z różnych organizacji i młodzież. Chodzi bowiem nie tylko o samą zbiorczą, ale również i o budzenie solidarności w realizacji słusznym celów.

ŚLIMAK z BURGUNDII

DAREMNE WYSIŁKI BANKRUTÓW

30 rocznica napadu III Rzeszy na Polskę, co dało początek największej z wojen w dziejach ludzkości, wywołała szerokie echo. Prasa całego świata, radio i telewizja poświęciły i poświęcają jeszcze temu tematowi wiele miejsca. Spojrzenia na wrzesień 1939 są bardzo różne, dużo miejsca zajmują w nich wspomnienia uczestników, co nie jest bez znaczenia, jeśli się zważy, że mniej więcej połowa europejskich społeczeństw to już ludzie młodzi, dla których druga wojna jest tylko historią. Ale jest też w tematyce wrześniowej wiele rozważań, prób naginania faktów do wygodnych tez politycznych, ocen tendencyjnych. Uznaje się wprawdzie przy tym bohaterstwo polskiego żołnierza, przyznaje się, że mimo zawojowania ziem polskich nie skapitulował, że został wtedy pokonany tylko pozornie i bił się na wszystkich frontach do ostatniego dnia wojny.

Dużo miejsca poświęca się przyczynom, które umożliwiły Hitlerowi rozpetanie światowej burzy wojennej i fali nie notowanych nigdy w przeszłości zbrodni ludobójstwa. Punkty widzenia są tu bardzo różne, uzależnione od okresów, które autorzy przyjmują za punkt wyjścia do ustalania odpowiedzialności.

Jest rzeczą bezsporną, że odpowiednio wcześniej poprowadzona polityka państw europejskich mogłaby udaremnić Hitlerowi plany jego podbojów. Nie bez winy był w tym i obóz rządzący Polską, który przez swą współpracę z III Rzeszą działał w rzeczywistości na jej korzyść, co później tak tragicznie objawił narodowi polskiemu wrzesień 1939. To też zdumienie wywołać musi fakt, że część prasy emigracyjnej, a także niektóre rozgłoszenie nadające programy w języku polskim podjęły z okazji 30 rocznicy próby rehabilitacji Józefa Becka — ostatniego przed wrześniem ministra spraw zagranicznych, odpowiedzialnego w pierwszym rządzie za fatalną politykę międzynarodową Polski. Beck był ministrem spraw zagranicznych od 2.X.1932. Próbuje się mu przypisać zasługę odrzucenia żądań Hitlera wobec Polski w 1939 roku. Owszem, Beck odrzucił te żądania, zresztą niechętnie, ale **zrobił to pod naciskiem jednomyślnej opinii polskiej**. Od tej pory nie była to już jego polityka. Do tej pory

natomiast prawie przez siedem lat sprzyjał polityce Hitlera w sposób nie budzący najmniejszych wątpliwości.

Propagandzista Becka, Konrad Wrzos, w książce o swym protektoracie, wydanej w 1939 r. w Warszawie, podaje, jak wracając z Beckiem w 1937 r. z Bukaresztu podczas przejazdu przez Czechosłowację usłyszał od niego taką zapowiedź:

„Czechosłowacja? Czechosłowacja jako karykatura monarchii austriacko-węgierskiej (bez Habsburgów) nie utrzyma się dłużej niż półtora roku”.

Na pewno nie rzucił tego na wiatr. Nie zapomnijmy: było to w 1937 r. Rozbiór Czechosłowacji leżał wówczas w planach Hitlera i w planach Becka, który mu w decydującym momencie walnie w tym pomógł.

Otrzeźwienie w obozie sanacji, rządzącej wówczas Polską, przyszło dopiero w jakiś czas po oszołomieniu, jakie przyniosło brutale zagarnięcie Zaozla, czyli współudział w rozbiórce Czechosłowacji jesienią 1938 r. Efekt „sukcesu” bowiem był taki, że Niemcy mogli teraz uderzyć na Polskę nie tylko z zachodu i północy (Prus Wschodnich), ale również z południa przez Słowację. I tak się stało. Kraków na przykład został przez Niemców zajęty nie od strony Katowic (zachodniej), lecz od strony Bechni (Tarnowa — od strony wschodniej), gdzie formacje niemieckie przedostały się ze Słowacji.

Jedno z pism krajowych przypomniało ostatnio rozmowę, jaką pisarz Melchior Wańkowicz odbył z Beckiem na terenie Rumunii, gdzie ten po tragedii wrześniowej żył jako osoba prywatna, nie przejmując jednak prowadzić kreciej polityki przeciw Sikorskiemu, stojącemu już na czele rządu emigracyjnego we Francji. Wańkowicz w czasie tej wielogodzinnej rozmowy wielokrotnie zapytywał Becka: „czy pan minister liczył się z agresją?” — Beck zbywał zawsze pytanie jakimś wykrętem, kluczył, zmieniał temat, przypominał różne przebrzmiałe epizody polityczne, swoje rozmowy z Hitlerem, zwał winę na Ribbentropa, który jakoby przekabacił Führera, mającego inne intencje, a Wańkowicz znowu pytał:

„Ale czy pan minister liczył się z agresją?... Rozumiem, że to łatwo mówić po fakcie. Ale czy np. zabranie Zaozla było na czasie?...”

POLSKI UNIwersytet Ludowy w ZURYCHU na CENTRUM ZDROWIA DZIECKA

Podobnie jak w latach ubiegłych Polski Uniwersytet Ludowy w Zurychu uroczystość czci rocznicę Września 1939 r. w liście skierowanym do Polski organizatorzy piszą:

„W rocznicę niemieckiego zdrazieckiego napadu na Polskę 1 września br., w Kościele Matki Boskiej z Lourdes w Seebach (Szwajcaria) odbędzie się nabożeństwo za poległych w II wojnie światowej oraz zapalenie światła w intencji pokoju na świecie.”

Organizatorzy przypominają, że rok 1969 to nie tylko 30-lecie Września, ale również 25-lecie PRL oraz 25-lecie Powstania Warszawskiego. Piszą w dalszym ciągu swojego listu:

„Myśląc o tych rocznicach pragniemy uczcić imiona tych, którym zawdzięczamy, że Polska nie zginęła, tych, którzy byli drogowskazem także w pracach Polskiego Uniwersytetu Ludowego w Szwajcarii”.

Zamiast kwiatów na groby dowódców i wszystkich polskich i sojusznicych żołnierzy poległych przy wyzwoleniu naszej Ojczyzny, wybitnych zagranicznych przyjaciół Polski oraz polskich uczonych i pisarzy, organizatorzy uroczystości postanowili: „ofiarować skromny datek w intencji pokoju, dla umocnienia dążeń o rozwój tego wszystkiego, co piękne, dobre, humanistyczne. Wspólny nasz datek w kwocie 1800 franków szwajcarskich przeznaczamy na Centrum Zdrowia Dziecka w Polsce, które oby jak najpiękniej realizowało służbę dla dzieci polskich z Kraju i z obczyzny”.

„Byliśmy tylko konsekwentni — odpowiedział Beck — nie chcieliśmy otrzymać mniej niż Niemcy”.

I w dalszym ciągu pisarz ponawiał jeszcze kilkakrotnie sakramentalne: „Ale czy pan minister liczył się z agresją niemiecką?”

Była już pierwsza po północy, kiedy Beck chodzący nerwowo po pokoju zatrzymał się i na ponownie zadane to samo pytanie wykrztusił:

„Jeszcze w lutym 1939 sądziłem, że Hitler nie ma ostatecznej decyzji; że agresja niemiecka może pójść Dunajem — na południowy wschód Europy!”

Komentator przytoczonej wyżej relacji Wańkowicza, znany pisarz zajmujący się tematyką polityczno-historyczną, Andrzej Micewski, dodaje do tego od siebie: „Wydrzeć Beckowi z ust to ostatnie zdanie było wielką sztuką... Przyciśnięty do muru, nie chciał skłamać. I powiedział prawdę, on, pełen pychy, Beck przyszedł się do porażki”.

Polityka jest sztuką przewidywania. Kto źle przewiduje jest marnym politykiem. Wszystkie przewidywania Becka w ciągu siedmiu lat były błędne, a jego plany megalomańskie i szaleńcze.

Z ujawnionych ostatnio przez jednego z emigracyjnych komentatorów fragmentów nie ogłoszonego jeszcze kolejnego tomu tzw. „Tek Szebeka” — wiceministra spraw zagranicznych i prawej ręki Becka, który dzień za dniem spisywał swe służbowe rozmowy i czynności, wynika, że jego szef miał w gorących chwilach tuż przed napadem Hitlera na Polskę tłumaczyć, że **Gdańsk jest zbyt małą sprawą, by warto o nią zaczynać wojnę światową**. Myślał więc chyba o oddaniu Niemcom Gdańska. Nie mógł jednak tego uczynić, gdyż nie godził się na to naród polski.

Beck w swych planach był już nie tylko zgrany, ale całkiem osamotniony. Na nic też nie zdadza się próby, zresztą nieudolne, wybielania Becka, podejmowane przez jego przyjaciół, dziś bankrutów. Swą polityką zasłużył on jedynie na potępienie, a jego odpowiedzialność wobec historii jest bez porównania większa niżli trzech pozostałych głównych współwiników tragedii wrześniowej ze strony polskiej — Mościckiego, Rydza-Smigłego i Sławoja Składkowskiego, gdyż przetrwał ich inteligencją.

„*Francja i Polska uzupełniają się gospodarczo*”

FRANCUSCY PARLAMENTARZYŚCI W POLSCE

W RAMACH wieloletniej współpracy i coraz bardziej ożywionych kontaktów polsko-francuskich, na zaproszenie Polsko-Francuskiej Grupy Parlamentarnej Sejmu PRL bawiła w Kraju z rewizytą delegacja Grupy Francusko-Polskiej Francuskiego Zgromadzenia Narodowego.

30 sierpnia, jako pierwszy przybył do Warszawy przewodniczący tej delegacji p. **Michel Poniatowski** (z grupy niezależnych we francuskim parlamencie). Na lotnisku p. M. Poniatowski przywitał: posłowie na Sejm z Przewodniczącą Polsko-Francuskiej Grupy Parlamentarnej posłanką **Eugenią Krassowską**, przedstawicielem Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz ambasador Francji w Polsce p. **A. Wapler**.

W swej pierwszej wypowiedzi p. M. Poniatowski stwierdził, że celem wizyty delegacji parlamentarnej jest przeprowadzenie wymiany poglądów na tematy polityczne, a zwłaszcza gospodarcze. „*Francja i Polska częściowo uzupełniają się gospodarczo — powiedział przewodniczący francuskiej delegacji — toteż będziemy szukali sposobu dalszego zwiększenia wymiany między obu krajami*”.

Następnego dnia, 31 sierpnia, przybyli do Polski członkowie delegacji parlamentarnej: **pani Suzanne Ploux** (UDR), **pp. Xavier Deniau** (UDR), **Jean Poudevigne** (Groupe Progrès et Démocratie Moderne), **M. Arthur Ramette** (Communiste), **Claude Roux** (UDR), **Maurice Laurent** (Administrateur à l'Assemblée Nationale) — witani przez członków Polsko-Francuskiej Grupy Parlamentarnej.

W tym samym dniu delegacja zwiedziła Warszawę, zapoznała się z planami rozwojowymi Stolicy, a także obejrzała film „Varsovie quand même”. W tym samym czasie deputowany p. M. Poniatowski uczestniczył w wielkiej manifestacji antywojennej z okazji 30 rocznicy wybuchu II wojny światowej, jaka odbyła się na Górze św. Anny w woj. opolskim. P. M. Poniatowski powiedział w związku z tym m. in.: „*Polska i Francja straszliwie ucierpiały w ciągu dwóch wojen światowych. Chciałbym więc wziąć udział w tym akcie pamięci, ożywiony wielkim pragnieniem, by kraje europejskie mogły żyć i rozwijać się w pokoju*”.

W dniu rocznicy hitlerowskiej napaści na Polskę parlamentarzyści francuscy uczestniczyli w wielkim wiecu, jaki odbył się na Rynku Starego Miasta w Warszawie.

Następnego dnia delegacja udała się w podróż po Polsce. Zwiedziła w tym czasie Wrocław, Bydgoszcz, Toruń i Trójmiasto. We Wrocławiu, w towarzystwie posłów na Sejm oraz członków władz miejskich goście zwiedzili miasto, zaznajomili się z historią powojennej odbudowy i rozbudowy Wrocławia. W imieniu delegacji p. M. Poniatowski dzielił się wrażeniami oeni Wrocław jako wielkie polskie miasto, preżne, tętniące życiem. Zaakcentował też jako członek grupy niezależnych francuskiego parlamentu, że — podobnie jak cała Francja — **uznaje polską granicę na Odrze i Nysie za sprawiedliwą, słuszną i nienaruszalną**.

Następnie delegaci udali się do Bydgoszczy, gdzie na spotkaniu z posłami tej ziemi żywo interesowali się problemami gospodarczymi, społecznymi i kulturalnymi Pomorza.

Zwiedzając miasto goście obejrżeli m. in. Pomnik Walki i Męczeństwa, jaki w kilka dni później został odsłonięty. Pomnik pozostał wśród francuskich parlamentarzystów niezapomniane wrażenie. Z dużym wzruszeniem wysłuchali informacji o martyrologii Polaków, o zbrodniach popełnionych przez hitlerowskich zbrodniarzy w okresie od 1939 do 1945 roku na ziemi bydgoskiej.

W Filharmonii Pomorskiej goście wysłuchali koncertów dawnej muzyki polskiej i francuskiej w wykonaniu „Cappellae Bydgosciensis”. Dziękując wykonawcom francuscy goście stwierdzili, że znając najlepsze orkiestry świata z filadelfijską i bostońską na czele „*Możemy wam szczerze pogratulować sukcesu — nie ustępujemy najlepszym*”.

W dalszą podróż parlamentarzyści udali się do Torunia. Po zwiedzeniu grodu Kopernika, odwiedzili także historyczny Malbork, po czym wyruszyli do Trójmiasta — ostatniego etapu swej podróży po Polsce. W Gdańsku z zainteresowaniem oglądali odbudowaną z wielkim pietyzmem Starówkę. Stąd udali się na cmentarz żołnierzy i jeńców francuskich, poległych w czasie II wojny światowej. Pod pomnikiem delegacja złożyła wieniec. Następnie francuscy goście zwiedzili stocznice im. Lenina i pojechali na Westerplatte — gdzie pod pomnikiem bohaterów złożyli wiązanek kwia-



W czasie manifestacji na Górze św. Anny w imieniu delegacji grupy francusko-polskiej Zgromadzenia Narodowego Francji wieniec złożył przewodniczący p. M. Poniatowski (w środku). Z lewej: E. Krassowska i poseł Edmund Osmańczyk

tów. Tego samego dnia zwiedzili jeszcze Gdynię i wysłuchali koncertu organowego w słynnej katedrze w Oliwie. Przed odjazdem do Warszawy goście wyrazili podziw dla osiągnięć narodu polskiego w odbudowie Kraju i rozwoju gospodarki morskiej. Przewodniczący delegacji stwierdził, że celem wizyty parlamentarzystów francuskich i wspólnych polsko-francuskich kontaktów jest zrobienie wszystkiego, by nie dopuścić do powtórzenia okropności II wojny światowej, której 30 rocznicę obchodzili w Polsce.

W ostatnim dniu pobytu delegacji w Polsce, w Warszawie parlamentarzyści francuscy złożyli wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza. Następnie zostali przyjęci przez przewodniczącego Polskiej Grupy Unii Międzyparlamentarnej **Artura Starowicza** oraz ministra spraw zagranicznych **Stefana Jędrzychowskiego**. Ostatnim było spotkanie delegacji z grupą polskich posłów, na którym szeroko były omawiane stosunki gospodarcze między obu krajami.



Delegacja parlamentarzystów francuskich została przyjęta przez wicemarszałka Sejmu PRL Zenona Kliszkę (w środku). Spotkanie było interesujące

Au cours d'une conférence de presse donnée à Varsovie avant le départ de la délégation de parlementaires français pour Paris, Monsieur MICHEL PONIATOWSKI a déclaré à propos de ses impressions de séjour en Pologne:

„Nous avons fait un très intéressant voyage en Pologne et je voudrais dire, tout d'abord, que j'ai trouvé ce pays extrêmement transformé. Je suis venu ici il y a 4 ans avec Monsieur Giscard d'Estaing et je constate une évolution et une transformation profondes sur le plan économique.

Au cours de notre visite nous avons eu des contacts avec nos collègues de la Diète polonaise avec lesquels nous avons évoqué les problèmes politiques, économiques et culturels. Sur le plan politique nous avons essentiellement traité de la question de la sécurité en Europe. Le Général de Gaulle, il y a quelques années, a pris une position très nette et l'a répétée de nouveau l'année dernière concernant la frontière de l'Oder-Neisse. Il avait déclaré que cette frontière était bien délimitée et bien justifiée. Je suis convaincu que le nouveau gouvernement français

et le président Pompidou maintiendront cette position et poursuivront la politique française dans la même direction. Personnellement je considère cette frontière comme naturelle, justifiée, définitive et représentant un élément garantissant la paix et la sécurité collective. J'ajoute que cette sécurité collective passe, à mes yeux, en priorité dans les problèmes politiques européens. Je pense aussi que le gouvernement français poursuivra la politique que le Général de Gaulle avait définie dans son action générale, c'est-à-dire une politique favorisant l'indépendance nationale et l'entente entre les pays européens, quelles que soient leurs formes politiques, ainsi que la paix.

Sur le plan économique nous avons eu l'occasion de visiter un certain nombre d'entreprises extrêmement modernes. Je peux dire que j'ai été surpris au point auquel étaient arrivés certains secteurs de l'industrie polonaise. D'autre part, nous avons examiné dans nos entretiens les problèmes des échanges entre la France et la Pologne. Je pense nécessaire de rechercher des nouvelles bases d'échanges pour l'avenir”.

Pour une Europe de progrès

Pour sa part, Monsieur XAVIER DENIAU (UDR) qui, après s'être félicité des échanges culturels entre la France et la Pologne, a déclaré:

„Il y a quatre ans, en tant que membre de la délégation française pour l'Oder-Neisse dont je fais partie en tant que député gaulliste, j'avais fait une déclaration personnelle, après avoir rendu visite à l'Association pour le développement des terres polonaises recouvrées, dans laquelle j'ai dit que l'ensemble de l'opinion française considère que les frontières sur l'Oder et la Neisse de Lusace étaient des frontières définitives et justes de la Pologne. Je suis heureux de constater que l'ensemble de la délégation de laquelle je fais aujourd'hui partie, et qui représente tous les secteurs politiques français, est entièrement d'accord sur ce point: qu'il y a eu dans l'opinion publique française une prise de conscience qui n'a fait que s'affirmer à propos de cette réalité politique”.

Sollicité à donner des précisions sur les échanges de produits entre la France et la Pologne, Michel Poniatowski a répondu:

„Je crois que la France et la Pologne peuvent passer des accords de création dans le domaine de l'industrie électronique d'ordinateurs d'application. Voilà un secteur d'avenir dans lequel nous pouvons travailler. Je pense également que la mécanique est un deuxième secteur où nous pouvons coopérer très utilement. A l'heure actuelle la mécanique française est déficitaire et la France est conduite à importer une partie de l'équipement mécanique. Il peut être aussi intéressant de voir si nous ne pouvons pas passer un accord pour nous spécialiser — la Pologne et la France — dans le domaine mécanique. Nous avons évoqué

la possibilité, dans le cadre de la modernisation de la pêche qui sera inévitablement entreprise en France, de certaines commandes ici en Pologne”.

Au sujet de la visite des parlementaires français des territoires de l'ouest et du nord de la Pologne, Monsieur Poniatowski a ajouté:

„J'ai rencontré des personnes qui avaient autrefois travaillé en France. D'autre part, en Silésie à la manifestation du 1-er septembre, j'ai rencontré Monsieur Gierek avec lequel je me suis entretenu. J'ai gardé de cet entretien une très vive impression pour les capacités, le caractère de Monsieur Gierek. Et je puis témoigner de la très certaine affection à son égard de la population réunie à cette manifestation”.

Evoquant ses sentiments, trente ans après le déclenchement de la Deuxième Guerre mondiale, Monsieur Poniatowski a déclaré:

„Nos deux pays ont connu au cours de cette guerre des souffrances profondes, et la Pologne infiniment plus grandes encore que celles que nous avons connues. Trente ans après je crois qu'il faut essentiellement se tourner vers l'avenir. Et cet anniversaire doit nous rappeler ce qu'il faut éviter, nous rappeler que nous devons nous tourner vers l'avenir pour construire une situation politique et économique qui interdise le retour de tels événements et qui, au contraire, nous oriente vers un avenir de progrès. Le problème de la sécurité collective dominant les problèmes d'avenir de l'Europe, nous serons en effet un jour conduits à une telle discussion.

Propos recueillis par
Ludwik KADUCZEK

ZE WSPOMNIENIŃ STAREGO EMIGRANTA (2)

DZIĘKI WŁADKOWI Z PITHIVIERS poznałem też w tym miasteczku Janka, pochodzącego z Tarnopola. Pracował na fermie kilka kilometrów od Pithiviers u wdowy i, sam łakomy, chwalił się, iż przepędzał tamtejszego duchownego, który nocną zakradał się do jego patronki. Był bardzo silny, bo gdy orał w trzy konie pługiem na trzy skiby, przy nawracaniu unosił ciężki pług z kółkami, aż konie przysiadły na zadach. Trzymając się linki potrafił w drugiej ręce utrzymać orczyk z zaprzężonym młodym koniem. Dodam, że później chciałem z niego zrobić boksera równego słynnemu Carpentierowi, ale pewna dziewczyna sprawiła inaczej i... coś złapała. Skończył jednak kurs jazdy samochodowej w paryskiej szkole imienia Hallera, później został szoferem i „gorylem” u ministra Lavala.

Od Janka dowiedziałem się o uwiezionej na fermie polskiej dziewczynie. Opowiadanie o niej wydało mi się tak nieprawdopodobne, że wsiedliśmy obaj na rowery, aby dowiedzieć się lepiej u innego robotnika polskiego, Pawła Stolaraka, który zatrudniony był bliżej miejsca uwiezionej. Ten zaraz na wstępie począł mnie przekonywać o potrzebie bronienia dziewczyny.

— Panie — mówił — Kasia pracuje niedaleko Yeuvre-lè-Châtel u bogatego „Baora”, który nie wypuszcza jej poza fermę i chce jej zrobić dziecko.

— Jak to dziecko? Przecież jest żonaty, a co na to jego żona?

— Ona pozwala, nawet Kasię zmusza.

Wszystko wydawało mi się bzdurą nie z tej ziemi, więc z koleją pojechaliśmy jeszcze dalej do jakiegoś Francuza Marcela, aby się lepiej o sprawie dowiedzieć, a Francuz ten jeszcze niedawno temu na owej fermie pracował.

W niedalekiej wsi udało nam się go spotkać na placu przed kościołem. Był to człowiek krępy, w średnich latach. O ile jego ciężkie, powolne ruchy mówiły, że pracuje bez pośpiechu, o tyle czerwony nos i fioletowe na nim żyłki świadczyły, iż chętnie zagłada do butelki. Nie chciał jednak nic opowiedzieć o Kasi, wprowadził „monsje”. Rosny z jej powodu go odprawił, ale za to ulokował on u pana Rosny swego krewnego, więc po co ma go narażać. Mrugnąłem na Pawła i zacząłem rozmawiać z Marcelem o pracy, okolicy, zarobkach, i tak podeszliśmy do kafejki. Południe, więc zaprosiłem wszystkich na obiad i po którychś tam butelce „czerwonego” znów ogólnie zapytałem Marcela o dziewczynę. Wino rozwiązało mu język i aby być lepiej zrozumianym przez moich towarzyszy — jak to na nieszczęście tak często stosują Francuzi do obcokrajowców słabo mówiących — Marcel zaczął rzecz opowiadać w uproszczonej mowie, tak zwanej „petit nègre”.

— Kasza (niby Kasia) dobra dziewczyna, warta grzechu. Ładna. Ja widzieć, patron też mówić. Patron ona poklepała, pocałowała. Kasza go „konie” raz, „konie” dwa, on jeszcze, Kasza znów bić w pysk. Ja z daleka śmiać, patron zły iść.

Z dalszej rozmowy, już dla mnie, dowiedziałem się, że Rosny przy cieleńiu krowy czy przyroście innego przychówku zawsze narzekał, iż już siódmy rok po ślubie, a nie ma z żoną potomstwa. A ta też widziała przyszłość w czarnych kolorach, martwiła się i powtarzała: „Na co ta robota, komu to wszystko przyjdzie zostawić?”

I tu, nie wiadomo czy ona zamyśliła, czy on — podjudzony samczym zmysłem — doszli do wspólnego porozumienia — mieć dziecko od Kasi! A że ludzie nie są ani aniołami, ani całkiem bydłami, cel zaś uświadcza środki, więc Rosny znalazł w swej żonie oddaną pomocnicę, która swą zgodą i poparciem chciała oszukać złośliwy los, który niosło ze sobą jej bezpłodne życie. Zgodziła się na czasowe dopuszczenie Kasi do dzielenia łoża z mężem, by gdy dziecko przyjdzie na świat wpisać je jako swoje własne i pozbyć się później matki.

Na migi i jak tylko umiała chciała przekonać dziewczynę, aby się dobrowolnie oddała, ale ta nie tylko odmawiała, ale mimo iż gospodarskie budynki otoczone były wysokim murem, a brama od jakiegoś czasu zamykana na klucz — próbowała raz i drugi uciec z fermi.

Od prośby do groźby jeden krok.

Marcel rozgrzany winem i opowiadaniem znów wpadł w uproszczony tok wymowy i opowiadał:

— Jedna noc ja słyszeć krzyk Kasza. Spać przy stajni, ja biegać do domu, gdzie spać Kasza. Drzwi otwarte i widzieć patron dusić na łożku Kasza, jego kobieta trzymać Kasza ręce. Ja krzyczę świnię, patron zeskoczył, mnie uderzyć, ja upaść. Kasza uciekać bez koszuli do bramy, potem dogonić — opowiadał płaczącym głosem.

Z dalszego opowiadania wywnioskowałem, że Rosny dopadł dziewczynę przy bramie i zawłócił do izby, a pobitego Marcela wzięto do mieszkania, tłumaczono, spojono, a na trzeci dzień kupiono jego milczenie i z obietnicą ukatrupienia, gdyby coś gadał, aduneczono u krewnego w odległej fermie.

Powiedziałem mu, iż będę się starał odwiedzić dziewczynę.

Oh...! oh! Rosny jest zły. Może łatwo... — i Marcel przechylił głowę i ułożył ręce jakby strzelał z karabinu.

Zostawiliśmy go śpiącego przy stole, bo nie mógł już ustać na nogach.

WIKTOR MACIEJEWSKI



Stary paryski drukarz Wiktor Maciejewski, obecnie na emeryturze, poznał w ciągu 40 lat wiele stron, wydarzeń i epizodów z życia emigracji polskiej we Francji. Obecnie pracuje nad ich spisywaniem i, zanim książka będzie wydana, udostępnił „Tygodnikowi Polskiemu” z gotowych już części kilka interesujących rozdziałów. W poprzednim odcinku, związanym z obecnym, była mowa, jak to autor wspomnień po przyjeździe do Paryża ukończył szkołę „Société de la Linotype Française”, a następnie otrzymał posadę składacza maszynkowego w drukarni w Pithiviers. Tu oczywiście po pracy zawodowej poszukuje kontaktów z Rodakami. Poznał między innymi niejakiego Władka, robotnika, który znał wielu innych Polaków pracujących w okolicznych fermach. Dzięki nim dowiedział się o nieprawdopodobnej wprost historii więzienia w fermie pewnej dziewczyny polskiej.

TAJEMNICZA SPRAWA z POLKĄ w YEUVRE - le - CHATEL

Po wyjściu wsiedliśmy na rowery i milcząc jechaliśmy z powrotem. Następnego dnia był również dniem świątecznym, więc przy rozstaniu obiecałem Powłowi, że go może jutro odwiedzić, aby coś postanowić.

Spieszyło mi się od Pithiviers na podwieczorek u właściciela domu, pana Retif. Był to uroczy człowiek, zbliżający się do 80. Inwalida, z obcięta do kolana nogą, żył sobie spokojnie z renty, dochodu z domu i procentów od papierów wartościowych. Czas schodził mu na czytaniu książek z pobliskiej biblioteki miejskiej, zbieraniu dla swych potrzeb jadalnych ślimaków w dolinie rzeczki L'Oeuf, gdzie miał również niewielki ogródek pełen kwiatów, oraz wizytach u znajomych i przyjaciół. Przypadłem mu do serca, a że był dowcipnym gawędziarzem, i ja polubiłem go bardzo. Może dlatego utarło się, że dwa razy w miesiącu zapraszał mnie do siebie na wino. Schodził wtedy uroczyście do piwnicy, i z warstwy piasku wydobywał wino, które butelkował i układał warstwami od czasów, gdy miał 18 lat. Wino pochodziło z plantacji ojca i z lat, kiedy winnice w tych okolicach jeszcze istniały, przed najazdem amerykańskich owadów „filoksera”, które spowodowały zamarcie tysięcy pól winnych, miliardowe straty i po klęsce zubożyły bezpowrotnie gatunek win francuskich na skutek ochronnego skrzyżowania miejscowych krzewów z gorszymi gatunkowo, ale lepiej broniącymi się przed owadami, a pochodzącymi z Ameryki.

Drogą rewanżu przynosiłem ciasto migdałowe i pasztet ze skowronków. Ze skowronków? Tak. Biedne polskie skowronki, dobrze odżywione w przelocie na południe siadały całymi stadami na równinach tych okolic. Łowcy ciemną nocą wychodzili na rzyśka z szerokimi i kilkanaście metrów długimi siatkami, nakrywali ziemię i wydobywali spod siatki trzepoczące się „boże ptaszyny”. Dusili i do worka, i znów dalej w pole — przez całą noc. Co kraj — to obyczaj, więc niech polscy, nie obeznani czytelnicy przebaczą zjadaczom żab i ślimaków jeszcze tę jedną słabośćkę. Dla złagodzenia ich sądu o Francuzach przypomnę, że i Włosi — na Sycylii szczególnie — łapia, nawet rękami, zmęczone po przelocie Morza Śródziemnego, a wracające pod rodzinny dach polskie zwiastuny wiosny, jakimi nad Wisłą i Odrą są jaskółki. Biada słabym!...

Co to było za wino! Nie czerwone, ale brązowe. Pan Joseph Retif po nalanii do szklanek brązowego nektaru zwykł był mawiać: „Buvons! Nous serons bientôt dans les vignes du Seigneur”. „Pijmy — odpowiadałem — na cześć łykiew boskiego Bacchusa”. I rzeczywiście, z każdym łykiem inne życie wstępowało w skołatany codziennością organizm; myśl pracowała wyśmienicie, a z nią ta wspaniała łatwość wymowy! Kochane czasy, kochani Francuzi!

Tak było i owego niedzielnego popołudnia. Pod koniec biesiady opowiedziałem moje poranne przeżycia i chęć zobaczenia Kasi na fermie.

— Bądź ostrożny! — radził mi również mój gospodarz. — Rosny jest na swoim podwórku. A bywa, iż sekunda niezręczności drogo kosztuje — mówił i poklepał się po swej drewnianej nodze. Lepiej idź jutro do żandarmierii i złóż skargę na łobuza.

Może miał rację, ale jakaś pewność prawdy, i choć bolała mnie niedola nieznannej dziewczyny, pchała również ciekawość, a pod wpływem wina budziła się we mnie namiętność rzyśka, które — choć nie zawsze idzie w parze z rozumem — w razie powodzenia daje zawsze ogromną satysfakcję.

Dlatego nazajutrz rano pedałowaliśmy po asfaltowej wysmołowanej szosie w kierunku Yeuvre-le-Châtel. Był cudny letni poranek. Zefirowe obłoczki gździejdzie przyszyły błękit nieba. Łagodnie falisty teren okolicy mienił się złotem dojrzewającej pszenicy i zielenią buraczanych pól. Skreśliłem w stronę osady, gdzie pracował Paweł, który — rozpoznawszy mnie z daleka — wyjechał na przeciw. Zawróciliśmy w stronę fermi Rosny'ego.

Po drodze mój towarzysz — chyba aby mi dodać odwagi — opowiadał o bitkach i awanturach na potańcówkach i weselach wiejskich w Lubelszczyźnie. Ale jego zapal bojowy począł maleć w miarę, jak budynki fermy rosły w naszych oczach, a gdy już skręciliśmy na drogę wiodącą do bramy zagrody — załamał się.

— Rosny nie wpuści nas i nie będzie chciał z nami gadać. Skrećmy teraz na lewo. Dostaniemy się od łąk, gdzie przebywa bydło, a z tamtej strony przez ogródek owocowy do muru, zza którego łatwo wysiedzić i zawołać dziewczuchę.

Tego tylko brakowało. Przypomniał mi się zaraz Marcel, który wczoraj w kafejce unosił ramiona jakby do strzału z dubeltówki.

Nie! Pojedźmy wprost do bramy i poprosimy o widzenie się z polską dziewczyną, a potem zobaczymy.

Pojechałem jednak sam, bo Paweł zalił się, że Rosny go zna i nagada jego patronowi, a ten go wyrzuci itp. itp. Oświadczył mi, że położy się w rowie i będzie wszystko obserwować. Zgoda. Zbliżając się do gospodarstwa rozglądałem się ciekawie. Wysoki mur okalał schludne budynki, a drewniana brama naprawdę była zamknięta. Począłem dzwonić dzwonkiem rowerowym, a gdy nikt nie odpowiadał, zacząłem stukać w bramę kamieniem.

— Merde! — usłyszałem wreszcie głos zza bramy. Boczna furtka otworzyła się i stanął w niej trzydziestoletni silnie zbudowany mężczyzna. Ogorzała twarz, bujne czarne brwi zrosnione nad nosem i czarne świecące oczy świadczyły o jego władcym charakterze. Przyjrzał mi się uważnie i na moje dzień dobry, zapytał: — Czego?

— Chcę pana prosić, aby mi Pan pozwolił zobaczyć się z moją Rodaczką panną Katarzyną, która tu pracuje.

Zastanowił się i po chwili odpałił:

— Moja ferma nie jest szpitalem i nie udziałam zezwolenia na odwiedzin... O co chodzi?

— Mam do niej ważną sprawę i chciałbym jej to powiedzieć osobiście, więc może mogłaby tu wyjść na chwilę — mówiłem głośno, aby jak najdalej być słyszany.

— Nie ma jej... wyjechała. Odwrócił się i zatrzasnął za sobą furtkę.

Rozdrażniony znów zacząłem kołatać. Nowe „merde” rozległo się za bramą. Furtka uchyliła się, Rosny wytknął głowę i warknął w moją stronę:

— Wynoście się! Nie jest to okres polowań, ale możecie dostać gdzieś porcję srułu.

— Panie, to również wasz interes, aby...

— Won! i znów furtka trzasnęła za nim.

Po chwili zawróciłem i powoli, idąc obok roweru, zastanawiałem się co robić? Później wsiałem i zjechałem niżej, skąd już nie było widać budynków. Paweł chyłkiem dołączył do mnie. Opowiedziałem mu, jak i co i że Kasi nie ma na fermie.

— Jest, jest na pewno, tylko on nie chce nikogo do niej dopuścić. Zajdźmy od strony ogrodu, może ją wypatrzymy?

— Ano, zajdźmy. Może wypatrzymy...

W następnym odcinku
końcowa część sprawy z Yeuvre-le-Châtel
pt.
URATOWANIE DZIEWCZYNY

NASZA MŁODZIEŻ NA KOLONIACH

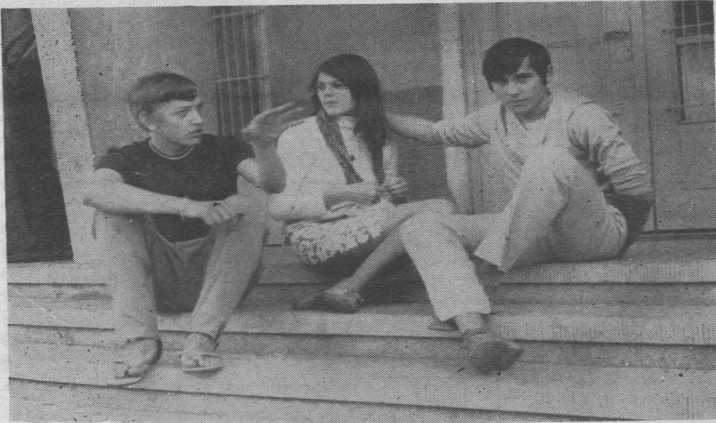
TORUŃSKA ZŁOTA KSIĘGA

ZŁOTA KSIĘGA KOLONII W TORUNIU, gdzie w tym roku przebywało na wakacjach 50 dziewcząt i 40 chłopców Polonii z Paryża, Lyonu, Lille i Calvados, została wypełniona do końca. Na ostatniej karcie namalowali wielkie serce i napis: „Nie zapomnimy”. Ni-

mięgo spędzenia pozostałych dni na ziemi polskiej”.

29 lipca: barwne fotografie Poznania i tekst informujący o tym, co widzieli w stolicy Wielkopolski i pradawnej stolicy Polski — Gnieźnie.

I tak karta po karcie, dzień po dniu — wszystko, co się działo, co widzieli w Polsce.



To już ostatnie rozmowy przed powrotem do domów. Alex Adamiec, Susanne Lisowska i Denis Dubost jak zwykle w takich przypadkach zawarli przyjaźń na śmierć i życie. Może się spotkają znów w Kraju? Kolonie są przecież co roku

żej w czerwonych serduszkach złożyli swe podpisy wszyscy uczestnicy. Czytamy: LIPOWSKA, BELLOSO, JACZYŃSKI, BOGACZYK, HAS-SINE. Z fotografii robionych w obozie i na wędrowkach wycięto sylwetki. Jest tu zamysłony a zarazem zadzierzasty Erwin NIEMCZYK z Potigny, ten sam, który w ubiegłym roku był w Bardo. Obok wesołe twarze kompanów z toruńskiego obozu. Zgrabnie wycięte fotografie powklejane w „Złotą Księgę” utworzyły wcale smaczny collage. A dalej kronika wydarzeń polonijnego lata w Polsce:

21—24 lipca — barwne zdjęcia stolicy, fragmentów lipcowej defilady i inskrypcja... dwudziestu przedstawicieli naszej kolonii było w Warszawie. I opis tego, co widzieli. Czy reszta była pokrzywdzona? I oni w tych dniach mieli swe atrakcje. Czytamy: „wędrowka po Wybrzeżu”.

Pod datą 28 lipca odnotowano: „Gościliśmy na terenie obozu konsula francuskiego. Po rozmowie z młodzieżą z zadowoleniem stwierdził, że u-

czestnicy czują się znakomicie i na pożegnanie życzył im Z Gdańska wywieźli moc fotografii grupowych. To Ośrodek Wycieczkowy Polonii Zagranicznej, do którego trafiali nie tylko torunianie, ale wszystkie kolonie zwiedzające Gdańsk — zadbał, by młodym gościom jak najbardziej upamiętnić pobyt nad morzem.

Nie odnotował kronikarz tylko chwil pożegnania. Może dobrze się stało? Bo chyba nie było pożegnania z Krajem Ojców, tylko słowa podsumowania (wiadomo — pedagogzy zawsze muszą coś ocenić i podsumowywać) i występy artystyczne (wiadomo — młodzież lubi grać, śpiewać). Nie żegnali się, wymieniali obietnice, w przyszłym roku znowu na koloniach w Polsce. W ostatnich dniach, a zwłaszcza godzinach, długopisy pilnie notowały adresy. Padły obietnice: „Przyślę ci taaakie znaczki”. „Ja Tobie Boba Dy-lana, a Ty mnie Czerwone Gitary, zgoda?”. „Będziemy wymieniać widokówki...”

Pierwsi opuszczali Toruń Polacy. W dwóch grupach wyjeżdżali w następnych dniach dziewczęta i chłopcy z

Francji. Gdy spotkali się 5 sierpnia po raz ostatni wszyscy razem, było im trochę nieswojo: więc to już, tak szybko? Zasiadli w pięknie przybranej sali, grzecznie przysłuchiwali się przemówieniom opiekunów, oklaskiwali je uprzejmie, ale widać było, że czekają na coś innego niż przemówienie. I rzeczywiście. Kiedy w imieniu gości Dominik MOTYL z Potigny zaczął: „Ja tak ładnie po polsku nie potrafię, bo ja z Francji...” dali mu huczne brawa, że choć może z niezbyt czystym akcentem, ale pięknie wyraził, o czym myśleli. Wychowawcom było wyraźnie żal... A z Dominikiem, miłym, uczynnym kolonistą żegnali się naprawdę. „Ma lat 17 i jeżeli wróci na kolonie, to dopiero za kilka lat, jako wychowawca — mówili. A był w Polsce dotąd już pięć razy...”

Koniec przemówień. Występy artystyczne. Za fortepianem szumnie witany Ryszard WAWRZYŃIAK. Grał jakąś melodię Duke Ellingtona. Mówiąc prawdę, tym razem szło mu niesporo. Za to dostał brawa, od których bębniarki pękały, kiedy wraz ze swym kuzynem Markiem KUSEM z Le Mars zagraли na cztery ręce bluesa własnej kompozycji. Nikt na sali nie mógł usiedzieć spokojnie i przedstawiciel „Tygodnika” z radością dostrzegł, że nawet panu kuratorowi toruńskiego okręgu szkolnego i innym poważnym przedstawicielom miejscowych władz, choć byli szpakowaci, a jeszcze przed chwilą bardzo oficjalni, ręce same zaczęły „chodźć” w takt muzyki, nieznacznie — ale przecież!... A potem dziewczęta wysokim głosem zanuciły: „Nous irons jus-qu'à San Francisco”... Nim słuchacze ochłonęli, padło wezwanie do wspólnego odśpiewania „opolskich dziuoch”. Śpiewali, a jakże, czuło się, że nie pierwszy raz wspólnie powtarzają refren: „Sza-la-la... Sza-la-la, kazały se poszyć czerwone spódnice”. Wreszcie piękny polonez. Tańczyli go kolonisci z Polski i Francji w szkolnych biało-granatowych mundurkach. Ostatnim punktem programu był występ zespołu muzycznego z Młodzieżowego Domu Kultury w Toruniu. Byli tam refreniści, elektryczne organy i także gitara oraz perkusja. Tak niewiele instrumentów, a tyle decybeli! Kiedy się siedziało w pobliżu tych czterech



Dziewczeta z Francji, które przebywały na kolonii w Toruniu zasłynęły elegancją, kokieterią i koleżeńskością. Nie dziwnego, że cieszyły się wielką sympatią swych kolegów z Torunia. Ale i młodzi kolonisci z Bydgoszczy, którzy przyjechali do nich z „wizytą przyjaźni”, polubili serdecznie wesołe dziewczęta



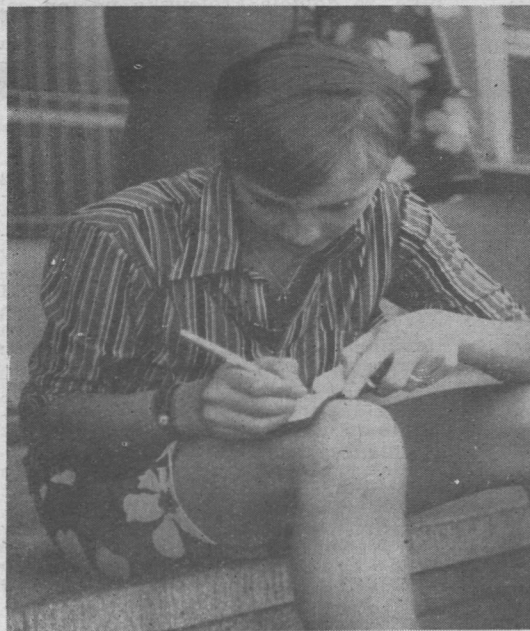
Przedstawiciele Francji na obozie w Toruniu składali się w dużej mierze z dawnych kolonistów z Bardo. Po rocznym niewidzeniu się spotkanie w mieście Mikołaja Kopernika — stało się wielkim, radosnym przeżyciem dla starych i nowych przyjaciół

chłopców w kremowych spen-JACUCHA z Sevram należą cerkach i spodniach — zdo-do „znawców” Kraju. Na kolonijach już był piąty raz. Obdarzony zmysłem praktycznym, chłopiec kupił w prezencie dla mamy serwis do kawy.

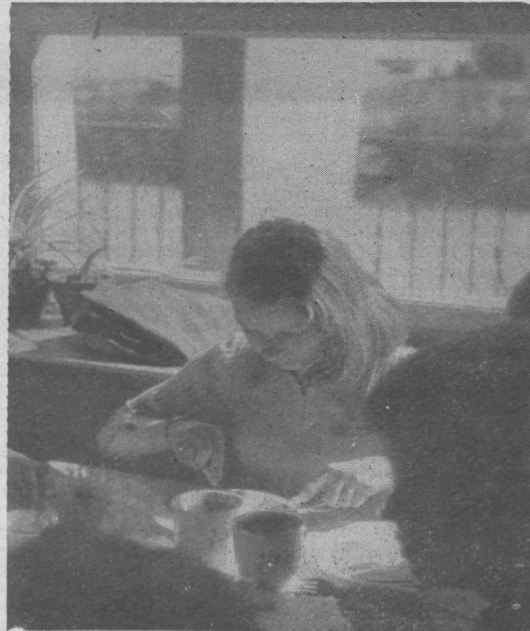
Przemieili chłopaki z Potigny — Fabrice DOMAGAŁA, bracia Alex i Romuald ADAMCOWIE, Patrick JAROSZ — byli w tym roku po raz pierwszy na obozie. Poprzedniego lata spotkaliśmy ich na koloniach dziecięcych w Bardo. Wyrosli i wydorosleli w ciągu zimy. Bardzo chcieli zamienić kilka słów z przedstawicielem „Tygodnika”, ale kończyło się na wymianie kilku zdawkowych zdań. Cóż — partnerki czekały. Była wśród nich i Liliana GALLUS z St. Quentin dep. Calvados. To ona po nocach recytowała w ubiegłym roku w Bardo strofy Rostanda. Nadal kocha teatr i poezję. Czy przyjedzie na przyszły rok do Kraju? Chciałaby bardzo...

Wracajcie! Nie jak goście, lecz jak Rodacy. Umieszczone w Złotej Księdze podpisy w czerwonych serduszkach coś przecieżyły, prawda?

Fabrice Domagała z Potigny był ogromnie lubiany przez polskie koleżanki. Za popularność trzeba płacić — bodaj wpisem do pamiętnika



Jocelyne Pawlicka z Sanvignes jak wszystkie dzieci lubiła pływać. Wolała basen odkryty. Leżał o 10 min od kolonii i był piękny



la boutique polonaise

25, rue Drouot
PARIS 9^e

téléphone: 770-83-37
c.c.p. Paris: 189.46.68

poleca niżej wymienione książki po cenach najniższych:

Karol Bunsch	— PRZEŁOM	10,50
Dembowska-Martyniak	— APPRENSONS LE POLO-NAIS	10,00
Fiodor Dostojewski	— ZBRODNIA I KARA — 2 tomy	10,00
Kornel Filipowicz	— ULICA GOŁĘBIA	8,65
Jan Gerhard	— NIECIERPLIWOŚĆ	11,75
Antoni Gołubiew	— BOLESŁAW CHROBRY — 5 tomów	25,00
Ilustrowany katalog znaczków polskich „Ruch”	— w oprawie	14,50

Józef Ignacy Kraszewski	— BRACIA ZMARTWYCH-WSTAŃCY	14,50
Leon Kruczkowski	— KORDIAN I CHAM	3,50
Kuchnia Polska	— 772 strony z ilustracjami	28,00
Kuchnia Warszawska	— 580 stron z ilustracjami	25,00
POLSKA	— Wyd. „Sport i Turystyka” 560 str. w oprawie	12,35
Adolf Rudnicki	— 50 OPOWIADAŃ	10,60
Michał Rusinek	— BURZA NAD BRUKIEM	8,30
Michał Rusinek	— ZIELONE ZŁOTO	5,90
Jadwiga Rutkowska	— KUSZENIE PANA KOWALSKIEGO	3,10
Pierre-Henri Simon	— SWIADECTWO CZŁOWIEKA	9,90
Stanisława Sowińska	— WYPRAWA ARMANDA	3,20
Lew Tołstoj	— WOJNA I POKÓJ — 4 tomy	28,50
Jerzy Zawieyski	— ROMANS Z OJCZYZNĄ	5,25
Stanisław Zieliński	— STARA SZABLA	9,25
Joanna Żwirska	— DO SIEBIE PODOBNI	3,70

Do cen wymienionych doliczamy koszty własne przesyłki pocztowej. Stale posiadamy na składzie podręczniki do nauki języka polskiego i francuskiego. Słowniki, Encyklopedie, Rozmówki polsko-francuskie. Posiadamy też bardzo duży wybór płyt nagranych w Polsce i we Francji. Zamówienia listowne wykonujemy odwrotną pocztą.

LEOPOLD MARSCHAK

NAD KRÓLEWSKĄ KORESPONDENCJĄ

LUBIE WĘDRÓWKI w przeszłość. W przeciwieństwie do oszałamiającego tempa podróży księżycowych, te są powolne, spokojne, owiane nutą sentymentu i na pewno bardzo pouczające. Odbywam je zazwyczaj w zaciszu bibliotek i archiwów, jedynym bowiem cudownym pojazdem mogącym poruszać się wstecz jest dawna książka, rękopis czy dokument, czekające cierpliwie w szafach na swych czytelników. Ostatnio zdarzyła mi się szczególna w tej dziedzinie gratka. Oto wędrując po Krakowie trafiłem do nowego budynku Muzeum Narodowego, gdzie mieści się słynna Biblioteka Czartoryskich. Zaczęłem, oczywiście, od przewertowania katalogu. Zapowiadał 150 tysięcy druków, 296 inkunabułów, 250 dokumentów pergaminowych, 8500 rękopisów itp. Niestety, mój pobyt w Krakowie miał tym razem trwać zaledwie trzy dni, toteż z bólem serca minąłem salę druków, aby o piętro wyżej zasiąść nad rękopisami.

LISTY TADEUSZA KOŚCIUSZKI

Ba, ale od czego zacząć, skoro nie zamierza się pisać dzieła naukowego, a przyszedłem powodowany zwykłą ciekawością bibliofila? Pomogli mi uprzejmi bibliotekarze. W pewnej chwili ujrzałem przed sobą stos tekturowych tek, wypełnionych jakże cenną zawartością! Oto już widzę z wierzchu listy Tadeusza Kościuszki do księżny Izabeli Czartoryskiej, pani na Puławach, wśród nich kolorowy szkic z objaśnieniem pisany ręką księżny: „Tadeusz Kościuszko, dobry, waleczny lecz nieszczęśliwy. Rysunek zrobiony na moim stole przez pana Kościuszkę w ów czas, kiedy król uczyniłszy akces do Targowicy przysłał wojsko do odstąpienia, a pan Kościuszko przechodząc przez Puławy kilka godzin u mnie bawił”...

Obszerną korespondencję wiodła księżna Izabella: w tej jednej teczce jest 170 zapisanych stron, więc, niestety, po tylko pobieżnym ich przejściu, idąc śladami Kościuszki przetrzęciłem się do innego zbioru i na inny kontynent. Bo tu jest również bogata „teczka amerykańska”: listy Waszyngtona, Franklina i Adamsa,

ba! jest rysowany przez Kościuszkę portret Jeffersona, a rysował trzeba przyznać nieźle, z angielsko-francuskim podpisem: „Thomas Jefferson, a philosopher a patriote and a friend desiné par son ami Tade Kościuszko”. Jednak w tym wypadku nie portret, ale list zwrócił moją uwagę; list Johna Adamsa, następnego po Waszyngtonie prezydenta Stanów Zjednoczonych, który w takich słowach (w tłumaczeniu z angielskiego) powitał Kościuszkę przybyłego do Ameryki po upadku powstania w Polsce: „Pozwoli Pan, że złożę mu gratulacje z okazji przybycia do Ameryki. Mam nadzieję, że znajdzie Pan tu pocieszenie, spokój i zadowolenie, jakiego by mógł sobie życzyć po wspaniałych Pana wycieczkach na wielkim polu walki...”

CO PISAŁ NAPOLEON?

Nie mniej ciekawe były listy pisane po francusku: ich autorami są cesarzowa Józefina i sam Napoleon. Ze wzruszeniem czytam pisany nerwowo i pośpiesznie jego ręką bilecik spod Piramid w czasie kampanii egipskiej. Napoleon, który był wtedy generałem, w taki sposób wyraził swoje zdanie o podboju Polski przez carską Rosję: „Le Russie a detruit la Pologne. L'indifference de la France a cette grande époque fut et sera un eternel objet de blame”. Ale cesarz Napoleon zapomniał później o tym, co myślał będąc generałem.

Oto w liście, wysłanym z Schönbrunnu do cesarza Rosji Aleksandra I pisząc pod datą „10 octobre 1809” o Polakach z Księżstwa Warszawskiego zapewnia „Jego cesarską mość i drogiego brata”, że „dans aucun cas, dans aucune hypothese ils ne doivent pas esperer aucune protection de moi” — inaczej mówiąc, że Polacy w żadnym wypadku nie mogą liczyć na jego poparcie, pisał Napoleon w poufnej korespondencji, której nie czytali zapewne ani książę Józef Poniatowski, ani madame Walewska.

Szybko miały godziny w zaciszu Biblioteki. Byłem już sam na sali, zapadł wieczór, toteż na dzień następny odożyłem penetrację chyba najbogatszego zbioru Czartoryskich, a mianowicie korespondencji króla Stanisława Augusta, jest tu bowiem podobno cała królewska kancelaria — 76 tomów, a każdy ma prawie 1000 stron.

Zadziwiająco wszechstronne były zainteresowania „króla Stasia”: w tękach są papiery solne, górnicze, tabaczne, „budżety” teatralne, rozmaite kierowane na Zamek memoriały z propozycjami budowy nowych fabryk, prowadzenia poszukiwań geologicznych, jest konkretny projekt założenia towarzystwa akcyjnego dla eksploatacji srebra w Olkuszu. Wszystkie te pisma w sprawach „przemysłowo-handlowych” pisane były stylem bardzo zawiłym i ugrzecznionym, wiadać, że petentom zależało na zjednaniu sobie i samego monarchy, i osób „wpływowych” z jego otoczenia, a na wszystkich widnieje skreślony ręką sekretarza zamaszty napis: „au roi!” do króla!

HOBBY KRÓLA STASIA

Interesująca, ale też i dość uciążliwa jest korespondencja w sprawie soli. Oto dwie konkurujące ze sobą kompanie — Kompania Pruska oraz Kompania Wielicka walczą o dostawy. Podczas więc gdy nota „pruska” proponuje sprowadzenie „soli angielskiej”, która jest „słodsza, zdrowsza i o 9 złotych polskich tańsza od soli wielickiej”, to strona polska odpowiada rozsądnie, że jeśli istotnie tak jest, to „na co nam kupować angielską sól od Prusaków, którzy zechcą na tym zarobić, skoro prościej będzie skontaktować się z królem angielskim, a królowi pruskiemu zapłaci się tylko za przewóz przez jego kraj...”

Oto więc mamy wzór handlowej działalności „antypruskiej” z drugiej połowy XVIII stulecia. Zanotujmy dla pamięci jej inicjatorów: byli nimi panowie Moszyński oraz Jan i Piotr Konopkowie, założyciele polskiej „Kompanii Solnej”.

Ze wszystkich jednak imprez i przedsięwzięć najbliższe sercu królewskiemu były imprezy teatralne, najważniejszą jest tu listów tym właśnie sprawom poświęconych. Król łaskaw był dla swoich aktorów, toteż oni, dobrze wiedząc o tym, natarczywie pukali do królewskiej szkatuły. „Najjaśniejszy Panie, królu mój miłościwy, poświęciwszy się na usługi powszechności chciałem przystojnie powinności mojej zadość uczynić, żeby nie ukrzywdzić sceny narodowej, co mnie doprowadziło do kosztów i długów — pisze zamasztyście słynna w owych czasach aktorka Agnieszka Truskolaska. — Już odebrałam cokolwiek pomocy, ale największą pokładam ufność w nieprzebranej łasce WKMości, że raczysz mnie wesprzeć w nieszczęściu...”

Wertując teczkę napotykałam na coraz to nowych petentów: tancerz Constantini rzuca się „do stóp królewskich z prośbą o wsparcie, gdyż wiek nie pozwala mu już tańczyć”, popisując się dla spotęgowania wrażenia — „le pauvre Constantini”.

Aż dwa listy w jednym miesiącu skierował do Stanisława Augusta artysta Teatru Narodowego Karol Swierżawski, noszący przyznany mu przez króla tytuł „Pierwszego aktora Polski”. W pierwszym wspomina, że ma do uregulowania „mały dług”, po prostu komorne za trzy kwar-

tały, i dołącza od razu do petycji pokwitowanie na 20 dukatów, w drugim — przypomina wręcz królowi, iż otrzymał od niego zapewnienie „w tych słowach rzeczono: «bądź cierpliwy do czasu, ja o tobie pamiętam i nigdy nie zapomnę»...”

Kłopoty Wojciecha BOGUSŁAWSKIEGO

W niemałych kłopotach musiał znaleźć się i sam „ojciec sceny polskiej” Wojciech Bogusławski, który zresztą nigdy na teatrze majątku nie zrobił, skoro 2 sierpnia 1784 tak pisał do króla... „przywiedziony po ostatniej entrepryzie do bankructwa i nędzy, zostałem bez sposobu i nadziei i żywności nawet, biagam więc o dukatów 38, bowiem dzisiaj jeden mój „kredytor” przystąpił do zabierania wszystkich moich rzeczy”.

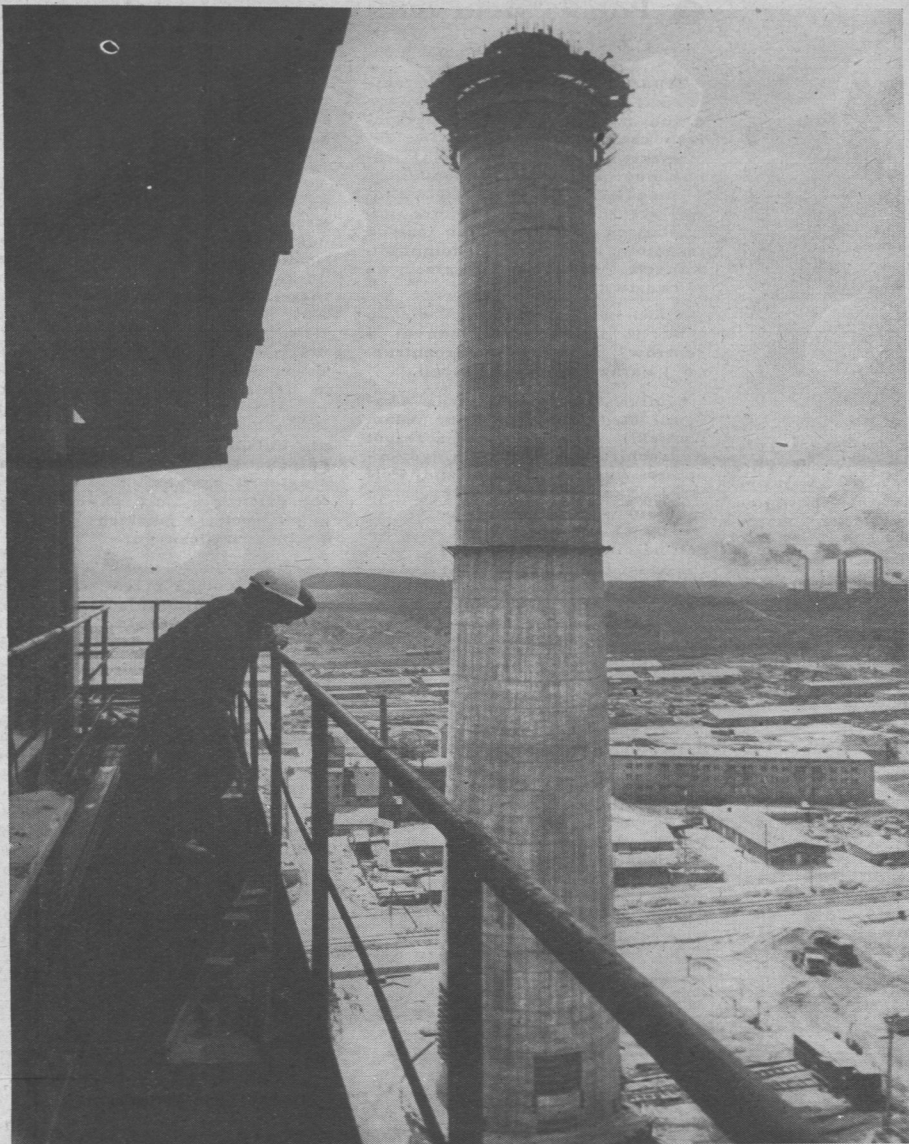
Ale nie tylko warszawskich artystów wspierał Stanisław August ze swojej szkatuły. Zwracali się do niego również bawiący na gościnnych występach w Polsce aktorzy zagraniczni, którym nie dopisało powodzenie. Nikogo zapewne w kancelarii królewskiej nie zdziwiło pisane po francusku podanie, w którym „...trupa francuskich aktorów i śpiewaków, opuszczona przez dyrektora, znalazłszy się w tragicznej sytuacji, gdyż nie ma za co ani pozostawać dłużej w Polsce, ani wrócić do Francji, uniżenie prosi WKMość o wsparcie...”

I tej prośbie nie odmówił dobrotliwy mecenas sztuk pięknych i teatru, choć nie wiadomo, jak tam naprawdę było z owym „dyrektorem” i podziałem dochodu uzyskanego z warszawskich przedstawień.

W każdym razie „budżet” królewski na potrzeby teatru nie był mały: z zachowanej w kartach notatki wynika, że dotacja królewska na ten cel wyniosła w jednym tylko miesiącu marcu 1779 — 12 tysięcy dukatów, a zatem suma, jak na owe czasy, poważna.

Krakowskie zbiory Czartoryskich są dobrze znane nie tylko polskim bibliofilom i historykom. Zaglądają tu często pisarze i naukowcy z krajów Europy zachodniej, a także i ze Stanów Zjednoczonych, interesując się najbardziej bogatymi materiałami z XVIII stulecia. Dokumenty i stare druki są mikrofilmowane, ale z uwagi na ich liczebność akcja ta potrwa zapewne jeszcze wiele lat.

Kończąc moją krótką wizytę w krakowskiej Bibliotece (a chętnie posiedziałbym dłużej nad rękopisami), daremnie próbowałem bodaj w przybliżeniu określić ich wartość. Nikt nie potrafił mi na to odpowiedzieć, bo też nigdy nikomu do głowy nie przyszło, aby można było coś z tych skarbów polskiej kultury narodowej wystawić na aukcje. Ale dobrze zorientowani w tych sprawach obcy antykwariusze i bibliofile oceniają je na grube miliony. W dolarach oczywiście...



Zmienia się krajobraz Turowszowa. Kominy rosną szybciej niż drzewa



Wielkie chłodnie kominowe, jak dziwaczne cylindry wkopane w ziemię



Młody monter stalowych konstrukcji



Zbrojmistrze montują ściany żelbetonu

WOREK ENERGII

NA samym końcu Polski, na dnie worka wciśniętego między granicę z Niemiecką Republiką Demokratyczną i Czechosłowacją, powstało zagłębienie przemysłowe, żywy symbol przemian dokonanych na mapie przemysłowej Polski Ludowej w ciągu minionego ćwierćwiecza. Jest to „worek turowski” lub „żytański” od miasta Żytawy na Łużycach (niemieckie Zittau w NRD).

Kilkanaście lat temu ekipy geologiczne odkryły nowe, bogate złoża węgla brunatnego na terenie powiatu zgorzeleckiego. Decyzje przyszły szybko — w Turowie przystąpiono do budowy wielkich odkrywek, daleko większych od istniejących tu poprzednio. I potężnej elektrowni, największej w Polsce — 1400 megawatów. Jest to dokładnie tyle, ile zainstalowano nowych mocy we wszystkich elektrowniach w Polsce w okresie międzywojennym.

Dojście do węgla zasłaniała gruba warstwa ziemi. Trzeba było ją zebrać, przetrząsnąć na bok. Człowiek sam nie byłby w stanie tego uczynić. Sprowadzono do Turowa gigantyczne koparki. Ich wysokość — kilkanaście pięter. Prawdziwe dinozaury zaprzęgnięte w służbę kopalni węgla brunatnego. Bez nich nie udało się w roku 1962 uruchomienie wśród księżycowego, przeoranego kraterami odkrywek krajobrazu worka turowskiego, elektrowni pierwszego „wielkiego bloku”.

Turbozespół dysponował mocą dwustu megawatów. Była to pierwsza „dwusetka” w polskiej energetyce. Tym samym przekroczyła Polska jeden z etapów na drodze energetycznego rozwoju. Co prawda całe podstawowe urządzenie sprowadzono z ZSRR, ale polscy inżynierowie zaprojektowali elektrownię, a ich projekt także zrealizowali Polacy.

Elektrownia „Turów I” osiągnęła swą pełną moc 1400 MW w roku 1965. W olbrzymiej hali kręciło się od tego momentu siedem turbin — stalowych kolosów o długości 35 metrów. Każdy z nich wystarczyłby do oświetlenia milionowego miasta.

Zdawało się, że kariera „Turowa I” skończyła się na tych siedmiu turbozespołach, ale stało się inaczej. Rosnące zapotrzebowanie przemysłu i gospodarki miejskiej na energię elektryczną skłoniło do ponownego, baczniejszego przyjrzenia się złożom węgla kamiennego. W planach inwestycyjnych pojawił się „Turów II”. Rozpoczęła się rozbudowa, a właściwie budowa nowej elektrowni, mniejszej co prawda, ale też dysponującej potężną mocą 600 megawatów.

Na płaskim terenie ograniczonym stępiędcieściami i stożkowatymi kominami wyrosła stalowa klatka nowej maszynowni. Przy pomocy kilkunastu tysięcy spa-



Całość robót zakończona zostanie za dwa lata, a elektrownia osiągnie moc 2 tysiące megawatów

wów połączono cienkie rury przewodów w kotle wysokoprężnym, mogącym dostarczyć 650 ton pary na godzinę. Budowa przekroczyła półmetek. Miejsce budowlanych powoli zajmują najlepsi specjaliści od montażu tych gigantycznych urządzeń energetycznych.

Tylko, że tym razem — mowa o „Turowie II” — wszystkie urządzenia zostały całkowicie wyprodukowane i zmontowane przez polskie krajowe fabryki, m. in. w znanych z produkcji wałów okrętowych zakładach „Zamech” w Elblągu. Skomplikowane generatory dla Turowa montuje wrocławski „Dolmel”, a kotły, o których już była mowa, dostarcza fabryka w Raciborzu.

Polskiej produkcji są także inne urządzenia, m. in. aparatura kontrolno-pomiarowa, cały układ zasilania w wodę itp. Całość robót zakończona zostanie za dwa lata, a elektrownia osiągnie moc dwóch tysięcy megawatów. Będzie znowu naj-

wieksza w Polsce i to przez kilka lat. Zdetronizuje ją dopiero elektrownia w Kozienicach nad Wisłą, która osiągnie 3 tysiące megawatów. Ale będą to już megawaty nie z węgla brunatnego, lecz kamiennego. W tym bowiem kierunku zmierzają rozwój polskiej energetyki — wykorzystanie węgla kamiennego po prostu bardziej się Polsce opłaca, z uwagi na wielkie zasoby tego surowca energetycznego.

Trwają także przymiarki do budowy dużej elektrowni opartej na paliwie płynnym — surowcu odpadowym przy przerobieniu ropy naftowej. W szybkim tempie postępuje budowa pierwszych wielkich elektrowni wodnych i pompowo-szczytowych. Ale Turów ze swymi dwoma tysiącami megawatów długo jeszcze znajdować się będzie wśród polskich potentatów energetycznych.

Marek CHMIELEWSKI



Filharmonia krakowska koncertować będzie w 5 krajach

Państwowa Filharmonia im. Karola Szymanowskiego w Krakowie koncertować będzie w okresie najbliższych miesięcy w pięciu krajach.

Z końcem września chór mieszany i chłopięcy pod kie-

runkiem Jerzego Katlewicza wystąpi dwukrotnie w Budapeszcie, prezentując „Pasje” Pendereckiego i „Requiem” Mozarta. Ten sam program zespół zaprezentuje w Brnie.

W październiku krakowscy filharmonicy będą występować przed publicznością francuską w Paryżu i Amiens. Publiczność Wiednia i Bratysławy gościć będzie krakowskich muzyków w listopadzie.

W styczniu przyszłego roku chór Państwowej Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie udadzą się na tournée po Belgii.

Rejs badawczy polskich naukowców po Bałtyku

Na statku badawczym Morskigo Instytutu Rybackiego „Birkut” wyruszyła w rejs po Bałtyku 13-osobowa ekipa polskich naukowców współuczestnicząca w realizacji programu „Międzynarodowego roku Bałtyku”.

W czasie rejsu przeprowadzone zostaną badania fizyczne, chemiczne i biologiczne na 39 stanowiskach rozmieszczonych wzdłuż tzw. profili od cieśnin duńskich do Zatoki Fińskiej. Analogicznie postępują ekipy pozostałych 5 krajów, kolejno zmieniając się w sprawowaniu nieustannego dyżuru badawczego. Uzyskany materiał analityczny posłuży m.in. do formułowania długoterminowych prognoz rybnych i meteorologicznych, do przewidywania ruchów wód i zalodzenia.



Huty szkła w Piotrkowie Trybunalskim stanowią dziś największy zespół fabryk szkła w Polsce. Najstynniejszą na szerokim świecie jest huta „Hortensja”, gdzie wyrabiane są piękne różnego rodzaju kieliszki. Oto jeden z nich, ten „najmniejszy”, prezentowany nam przez uroczą hutniczkę

„Dzień Polski” w Danii

22 sierpnia w ramach obchodów 25-lecia PRL za granicą rozpoczęły się „Dni Polskie” w Danii. Większość imprez odbyła się w Nakskov, wielkim ośrodku duńskiego przemysłu okrętowego, a zarazem skupisku tutejszej Polonii.

Szczególnie uroczystym punktem programu było wodowanie w stoczni w Nakskov statku m/s „Kopalnia Marcell” przeznaczony dla PZM. Jest to szósty z kolei, a zarazem ostatni drobnicowiec z serii „kopalni” budowany w Nakskov dla polskiego armatora.

M. Łopatka wyjeżdża do Belgii

Nasz najlepszy koszykarz Mieczysław Łopatka będzie w najbliższym sezonie występował prawdopodobnie w Belgii. Belgijski zespół Standard Liege zaproponował Łopatce podpisanie umowy na okres 8 miesięcy. Polskie władze sportowe wyraziły zgodę na wyjazd Łopatki za granicę.

W najbliższych dniach ma on wyjechać do Belgii, gdzie zostanie do końca maja 1970 r.



Toruń, jedno z najstarszych polskich miast, słynie z pięknie wykonywanych metaloplastycznych sztyldów sklepowych, kutych w metalu lamp ulicznych i innych temu podobnych wyrobów. Są one dziełem miejscowych mistrzów, którzy podtrzymują tradycje toruńskiego rzemiosła

Ruszyła produkcja w fordońskim kombinacie słodowniczym

Nad Wisłą w Fordonie powstał największy w Kraju kombinat zbożowo-słodowniczy. Jest to pierwszy po wojnie obiekt tego rodzaju budowany w Polsce od podstaw. Inwestycja zamyka się sumą 230 mln zł. Konieczność budowy wynika z uwagi na duże zapotrzebowanie — krajowe i eksportowe — słoju. O lokalizacji tej poważnie inwestycji w Fordonie zdecydowało przede wszystkim położenie miasteczka na Wisłę oraz bliskie sąsiedztwo z portem w Gdyni. Poza tym woj. bydgoskie jest największym producentem jęczmienia browarnego w skali ogólnokrajowej. Większość słoju wysyłana będzie drogą wodną, co w znacznym stopniu zmniejszy koszt transportu.

Okolo 80 proc. produkcji kombinatu stanowić będzie eksport. Odbiorcami fordoń-

skiego słoju będą kraje strefy dolarowej, m. in. Brazylia, NRF, Kolumbia, Japonia i inne.

Warto też wspomnieć, że obecnie eksport krajowy słoju wynosi ok. 30 tys. ton, podczas kiedy kombinat fordoński przy pełnym rozruchu produkować będzie dla zagranicznych kontrahentów 16 tys. ton.

Polski misjonarz na Madagaskarze

Do Rzymu wyjechali dwaj członkowie Zgromadzenia Księży Misjonarzy Salejnych: ks. Marian Sajdak i br. Alojzy Świadek. Po krótkim pobycie w domu generalnym udali się oni do Francji na górę La Salette. Stąd pojedą na Madagaskar w celu zapoznania się z terenem swej przyszłej pracy i z księżmi, wśród których już od wielu lat znajdują się dwaj inni salejtni pochodzący z Polski. Następnie powrócą do Rzymu, do Instytutu Misyjnego, by przez rok ugruntować znajomość języka francuskiego, po czym dopiero rozpoczną pracę na Madagaskarze.

Nie tylko obiekty przemysłowe

Zagłębie konińskie — to nie tylko wielkie obiekty przemysłowe 25-lecia. Malownicze jeziora i liczne ciekawostki regionalne stanowią wielką atrakcję dla przybywających tu licznie turystów.

W Ślesinie wycieczkowiec obejrzeć mogą bramę triumfalną z orlem napoleońskim na szczycie. Trójdziesięcylatki, murywany łuk wzniesiony został przez ślesieńskich mieszczan w 1811 r. na cześć Napoleona, w przekonananiu, iż otrzymają oni od cesarza dodatkowe przywileje.

Polska neurochirurgia w światowej czołówce

Trudno uwierzyć, że operacje czaszki (trepanacje) przeprowadzane w tych zamierzonych czasach, kiedy człowiek zamieszkiwał jaskinie... Dzisiaj jednak neurochirurgia — specjalność wymagająca od lekarza wyjątkowej zręczności i opanowania, potrzebująca współdziałania całych zespołów i używania skomplikowanych aparatów — przeżywa prawdziwy rozkwit.

Niewielu Czytelników wie o tym, iż Polska jest jednym z centrów światowej neurochirurgii i zarazem neurofizjologii.

Klinika Neurochirurgiczna Akademii Medycznej (prof. dr Adam Kunicki) w Krakowie i zespół Neurochirurgii Centrum Medycyny Doświadczalnej Klinicznej Polskiej Akademii Nauk (prof. L. Stepien) są placówkami, jak to się mówi, wiodącymi — w skali co najmniej europejskiej — w zakresie tzw. metod stereotaksycznych. Klinika Neurochirurgiczna Akademii Medycznej w Warszawie przeprowadza tak skomplikowane operacje mózgu, że tylko niewiele klinik na świecie decyduje się na podobne.

Stereotaksja jest jedną z najnowszych metod leczenia chorób nerwowych i zaburzeń czynności mózgu. Polega na docieraniu narzędziem operacyjnym do głęboko położonych partii mózgu — bez otwierania czaszki. Polega na niszczeniu chorej tkanki, będącej przyczyną różnych chorób. Owo narzędzie chirurgiczne, stosowane przy metodzie stereotaksyjnej, nie jest oczywiście tradycyjnym skalpelem. Najczęściej jest to niezwykle

cieńka igła, elektroda, igła z izotopem promieniotwórczym albo sonda ultradźwiękowa czy igła z płynnym helem, zamrażająca natychmiast każdą komórkę.

Operacja stereotaksyczna wymaga wyjątkowej zupełnie precyzji (trzeba przeczyć zniszczyć ośrodek choroby — najczęściej grupę komórek o mikroskopijnych rozmiarach) oraz doskonałej znajomości struktury i funkcji mózgu. Aby neurochirurg sięgnął elektrodą czy izotopem daleko w głąb mózgu, musi bardzo dobrze wiedzieć, które części tego organu są siedliskiem określonych funkcji. Dlatego rozwijane są w Polsce ze szczególną troską badania układu nerwowego i jego zaburzeń. Owo głębokie powiązanie teorii z praktyką właśnie w tej dziedzinie jest chyba szczególnieą cechą polskich placówek neurochirurgicznych.

Rewelacyjność metod stereotaksycznych polega przede wszystkim na tym, że eliminują one niebezpieczeństwo ubocznych uszkodzeń mózgu i komplikacji pooperacyjnych. Wiemy, jak straszliwa i ciężka operacja jest otwarcie czaszki, zaś operacja stereotaksyczna wykonywana jest przy... miejscowym znieczuleniu, a chory odczuwa poprawę swego stanu natychmiast. Leczy się już tą metodą skutecznie tw. ruchy mimowolne, dystonie mięśniowe, chorobę Parkinsona. Podejmuje się pierwsze próby leczenia pewnych form epilepsji, różnych rodzajów afazji (zaburzeń mowy), guzów przysadki, a nawet głęboko położonych nowotworów mózgu.

Tygodniowa
GAWĘDA

- ▲ Kpiny i zazdrość
- ▲ 7 milionów wykształconych
- ▲ Równanie w górę

W mojej rodzinie ludzi z tytułami naukowymi (z wyjątkiem jednego kuzyna magistrą praw) nie było, ba, nawet maturzystów było niewielu. Pamiętam z dawnych czasów dzieciństwa, jak to niby ironicznie, ale naprawdę to z zazdrością mówiło się o tym, że w Krakowie co drugi — to „pan doktor” albo „pan inżynier”, albo „pan profesor”.

Drugi raz z niesłusznym pokpiwaniem z tytułów naukowych spotkałem się w obozie, w Oświęcimiu, w tym tyglu równającym wszystkich w dół: profesora uniwersytetu i analfabeta. Faktem jest, że wielu ludzi z inteligencji w strasznych obozowych warunkach o wiele trudniej dawało sobie radę aniżeli inni, jednakże tylko nieliczna grupa była tych, którzy ironizowali na ich temat, większość współwięźniów im współczuła i starała się okazać pomoc. Tak na przykład pomocy współwięźniów (oczywiście i własnemu hartowi) zawiądywał to, że zdołał przetrwać od początku do końca pięć straszliwych lat obozowych, więzień z pierwszego transportu, opatrzonej numerem 774. Był nim profesor Xawery Dunikowski, wielki rzeźbiarz polski, naówczas już w obozie człowiek około siedemdziesiątki.

Wspomnienia te nasunęły mi się, gdy rzuciła mi się w oczy opublikowana ostatnio w prasie polskiej liczba: dziś w Polsce Ludowej żyje i pracuje bez mała siedem milionów (!) ludzi z wyższym lub średnim wykształceniem, co stanowi około 30 procent ogółu ludności w wieku ponad 15 lat.

Oczywiście, postęp w tej mierze dokonuje się na całym świecie, wszędzie w roku 1969 jest większy odsetek ludzi z wykształceniem wyższym lub średnim niż w roku 1939. W Polsce jednak dokonano ogromnego skoku: na początku obecnego dziesięciolecia (nie porównujemy już z okresem przedwojennym, a jedynie z latami ostatnimi) wykształceniem wyższym lub średnim legitymowało się niespełna 5 milionów osób (to była mniej więcej czwarta osoba w wieku ponad 15 lat), dziś zaś — o 2 miliony ludzi więcej! Oto miara postępu.

Wprawdzie i dziś znam ludzi, którzy powiadają z przekąsem: — „Namnożyło się tych doktorów, inżynierów, magistrów”. — Co robić: głupców nie sieją, sami się rodzą! —

ale gdy zapytać któregoś z nich czy bez „doktorów, inżynierów, magistrów” możliwy byłby postęp, którego ludzie w kraju są świadkami i współtwórcami — nabierają wody w gębę. Bo nie tylko elektronowego mózgu ani skomplikowanej aparatury nie obsłuży człowiek bez wykształcenia, nie potrafi nawet wykonywać w erze lotów na księżyc znacznie prostszych czynności: siać, orać i zbierać tak, by ziemia rodziła obficie, pracować przy maszynie tak, by jej nie uszkodzić i uzyskać pełnowartościowy produkt itd. „Doktorzy, inżynierowie, magistrzy” i cała plejada ludzi ze średnim wykształceniem humanistycznym, przyrodniczym, technicznym są więc nieodzowni w nowoczesnym społeczeństwie.

Właśnie w tych dniach ogłoszono wyniki egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie. Kandydatów było ponad dwa razy tyle ile miejsc: spośród 100 tysięcy kandydatów przyjęto na wyższe uczelnie 47 tysięcy. Oczywiście, najlepiej byłoby zapewnić możliwość studiów wszystkim, którzy mają ku temu dane i ochotę. To jest jednak niemożliwe; na niektórych wydziałach nie dostali się na uczelnie nawet tacy kandydaci, którzy zdali egzaminy wstępne, inni byli jeszcze lepsi. Przypomnijmy, że nauka w Polsce, również na wyższych uczelniach jest bezpłatna, wykształcenie jednego studenta kosztuje bardzo dużo, państwo musi więc regulować w zależności od możliwości i potrzeb dopływ kandydatów na wyższe uczelnie.

Trzeba powiedzieć, że egzaminatorzy stwierdzają, iż tegorocznymi kandydatami na wyższe uczelnie na ogół reprezentowali niezły poziom, mniej też niż zazwyczaj było tym razem utyskiwań na szkoły średnie. Jedynie jeżeli chodzi o opanowanie obcych języków, sytuacja ponoć wciąż jeszcze nienajlepsza. Niewątpliwie władze oświatowe wyciągną wnioski z tego stanu rzeczy.

Teraz bractwo rozjechało się i korzysta z pięknego lata. Ale od jesieni, jak co roku, zacznie się na nowo: nauka, nauka! Nie wystarczy być przytępiłym, trzeba popracować zdrowo przez parę lat, by wejść do rosnącej stale i coraz szybciej armii „magistrów, doktorów, inżynierów, profesorów.”

Znów w Polsce — równanie, ale tym razem: w górę. MARIAN

HACZÓW

WIEŚ JEDNA z WIELU



Kontrasty wśród 790 domów Haczowa: stare, pokryte słomą chatynki i nowe murowane domy



Sekretarz gromadzki p. Kielar śledzi pracę kronikarza p. Rozenbajgiera

WIEŚ HACZÓW w powiecie krośnieńskim na pierwszy rzut oka niczym się nie różni od 5.240 gromad wiejskich całej Polski. Nic nie inspirowało naszej wizyty w Haczowie, poza krótkim zdaniem w „Przewodniku po ziemi rzeszowskiej”: „...wieś Haczów posiadająca zabytkowy kościół drewniany i piękne tradycje pracy społecznej”. Haczów jest obrazem i jakby wypadkową innych wsi polskich. Od innych może różni się tylko tym, że więcej haczowianie liczą na siebie w trosce o rozwój wsi, a mniej czekają na pomoc władz.

W pogodny letni dzień główna ulica Haczowa jest wyludniona. Za to na polach ciągnących się za zabudowaniami ludzi sporo. Każdy się śpieszy z zakończeniem przed zimą prac na roli. Spora gromadka dzieci z zapalem robi porządki w nowym, wybudowanym wspólnym wysiłkiem mieszkańców pawilonie szkolnym. Haczów przeżywa obecnie własny wyż demograficzny, dzieci objętych powszechnym nauczaniem jest tu więcej niż mogły pomieścić sale starej szkoły. Budżet Powiatowej Rady Narodowej w Krośnie nie przewidywał funduszy na budowę nowej szkoły w Haczowie. Z inicjatywy Gromadzkiej Rady i przy pomocy wszystkich mieszkańców wsi rozpoczęto w zeszłym roku budowę pawilonu szkolnego. A dziś pawilon jest już gotowy.

Gromadzka Rada Narodowa mieści się w samym środku wsi.

„Aby wszyscy mieli jednakową drogę do nas” — żartuje jej sekretarz

Stanisław Kielar. Choć pochodzi on z niedalekiej Malinówki, życie swe związał z Haczowem. Pan Kielar przyjmuje nas, sam, bo przewodniczący wyjechał do powiatu. Dzisiaj rozstrzyga się tam najbliższa przyszłość wielu mieszkańców wsi. Ma być podjęta ostateczna decyzja o budowie w Haczowie zakładu produkcji obuwia. Poważna inwestycja — i poważna sprawa.

Wielu mężczyzn z Haczowa dojeżdża do pracy w Krośnie. Gorzej jest z zatrudnieniem kobiet. Te nie mogą pozwolić sobie na całodzienne pozosta-

wienie dzieci i choćby małego gospodarstwa, a takie posiada każda haczowska rodzina. Z myślą więc o miejscowych kobietach trwały wieloletnie zabiegi gromady o odpowiedni zakład produkcyjny. Zatrudni on 150 kobiet.

W towarzystwie sekretarza Kielara zwiedzamy wieś, słuchając informacji o osiągnięciach jej mieszkańców, ich życiu, kłopotach i radościach. Oto nowoczesny duży budynek straży pożarnej: oczywiście własne osiągnięcia Haczowa. Jeszcze po wojnie większość domów była z drzewa i słomy, więc i



Strażaczki — niestety nie w komplecie. Reszta dziewcząt zajęta była w polu

Ten piękny pawilon szkolny wybudowali haczowianie własnymi siłami



Piękny stary XVI-wieczny kościół w Haczowie doczekał się renowacji

P. Helena Filarowa jest nie tylko znakomitą gospodynią, lecz także cenioną w okolicy poważną radną gromadzką



pożary zdarzały się często. Nim z odległego Krosna przyjechała na pomoc tamtejsza straż, zwykle nie było już co gasić. Ochotników na miejscu było dużo. Sprowadzony instruktor przeszkolił przyszłych rycerzy św. Floriana. Wóz strażacki przydzielił powiat, a remizę zbudowali sami. Z pomocą dość nieoczekiwanie przyszli przy tym dawni ziomkowie zamieszkali w Ameryce. Wśród licznych bowiem kół zrzeszających w związku Polaków w Ameryce istnieje też Związek Haczowiaków. Nie zapomnieli o rodzinnej wsi.

Od kilku lat haczowska straż działa sprawnie nie tylko ku pożytkowi własnej wsi, ale przychodzi zawsze w potrzebie z pomocą okolicznym wioskom i przysiółkom.



**SOPOT
69**

NAGRODA BURSZTYNOWEGO SŁOWIKA



Dzień międzynarodowy przyniósł zwycięstwo Szwajcarowi — Henri Des



Joe Harris z Belgii śpiewał w dniu polskim uroczą piosenkę „Face à la vie”

MIASTO wyglądało odświeżenie. Kolorowe transparenty głosiły powitania i zapowiedzi. Na ulicach wielki ruch, samochody z trudem poruszały się w tłumie idących ludzi. Przy molo i na skrzyżowaniach głównych ulic siedzieli cudacznie poprzebierani hippiesi, chcieli zwrócić uwagę przechodniów. Ale w tym dniu nikt się nimi nie interesował. Za parę godzin miał się rozpocząć IX Międzynarodowy Festiwal Piosenki.

Przed Grand Hotelem stały setki młodych ludzi, polowali na autografy. Jednak przyjezdni piosenkarze nie mieli w tym dniu czasu, śpieszyli się na próbę generalną. W holu hotelowym pierwsze powitania i serdeczne uściski dłoni.

Wśród organizatorów festiwalu zdenerwowanie, jeszcze nie wszyscy zaproszeni piosenkarze dotarli do Sopotu. Pod bramę hotelu podjeżdża zielony

autobusik. No, nareszcie przyjechali. Brak tylko dwóch piosenkarek. Ich nieobecność wreszcie zostaje wyjaśniona; pani Vicky z NRF doznała poważnej kontuzji w kraksie samochodowej, Nicoletta z Francji zawiadomiła o swojej chorobie. Wszyscy bardzo żałują, obie panie to doskonałe piosenkarki.

Opera Leśna w Sopocie obchodziła już swoje 60-lecie. W okresie międzywojennym zastąpiła z festiwalu wagnerowskich, obecnie przebudowana, jest najpiękniejszym amfiteatrem w Polsce. Nowa widownia mieści ponad pięć tysięcy osób i posiada dach ze sztucznych gumowanych tkanin. Jest akustyczna i wspaniale nadaje się na festiwalowe imprezy.

Było już ciemno. Od morza wiał ciepły wiatr. Tysiące kolorowych lampek zawieszonych nad ulicą świeciło barwami tęczy. Tłumy ludzi śpieszyły zając miejsca w Operze Leśnej. Za kulisami odczuwało się zdenerwowanie.

Reżyser programu pan Rzeszewski daje ostatnie instrukcje:

— Uwaga! Za chwilę zaczynamy!

Punktualnie o godzinie dwudziestej zabrzmiały fanfary IX Festiwalu Piosenki w Sopocie. Całość festiwalu transmitowana była przez Polskie Radio i Polską Telewizję oraz Interwizję na kraje socjalistyczne. Czwarty dzień festiwalu, „Dzień płytowy” transmitowany był dodatkowo przez Eurowizję dla Austrii, Finlandii, Holandii i Danii.

Po oficjalnej części pierwszy koncert pt. „Piosenka nie zna granic”. Koncert ten nie był oceniany przez jury, a każdy piosenkarz wykonywał wybraną przez siebie piosenkę w dowolnym języku. Jako pierwsza, Urszula Sipińska odśpiewała piosenkę „Po ten kwiat czerwony”, laureatkę ubiegłorocznego festiwalu. Na estradę wchodził gdyńscy stoczniowcy niosąc olbrzymi bukiet czerwonych róż, kwiaty wręczają Urszuli Sipińskiej, która wyjaśnia pu-



Urszula Sipińska została matką chrzestną nowego statku



Zwycięzca „dnia polskiego” Muslim Magomajew i wielbiciele

Henri Tachan przysłuchiwał się konkurentom podczas prób



Zacięta walka o autografy. Ucierpiał tym razem piosenkarz



Ulubienica publiczności, ognista Hiszpanka





Henri Seroka zdobył nagrodę dziennikarzy i sympatię widzów za wdzięk



Wystąpiła także jedna ze słynnych sióstr Piters, najładniejsza — Virginia



Henri Tachan najpiękniej zaśpiewał sentymentalną „La table habituelle”

LE 9-ème Festival International de la Chanson à Sopot s'est achevé le 24 août. Par décision du jury international le I Prix de la „Journée internationale” a été attribué à la chanson „Maria Consuelo” interprétée par le chanteur suisse Henri Des qui est l'auteur des paroles et de la musique. Le II Prix est allé à „La table habituelle” interprétée par Henri Tachan (France). La musique de cette chanson est de Jean-Paul Roseau et les paroles de Henri Tachan. Le III Prix est revenu à la chanson „When you love me” (Lorsque tu m'aimes) interprétée par Patsy Mac Lean de Grande-Bretagne, musique de Alen Loorhouse, paroles de Peter Warne.

Le prix traditionnel des journalistes a été attribué au Luxembourgeois Henri Seroka (d'origine polonaise) qui a interprété „La valse de mon enfance”.

Le „Rossignol d'ambre” — prix d'interprétation — a été attribué à Mouslim Magomajev (Union soviétique) et le I Prix de la „Journée du disque” à l'Espagnol Michel, représentant la Belten Discos pour la chanson „Granada”.

blizności, że przed koncertem została matką chrzestną nowo zbudowanego statku „Zakarpacie”. Zrywają się gorące brawa.

Występy zagranicznych piosenkarzy rozpoczęła Angela Delonis z Austrii. Koncert w tym dniu trwał ponad cztery godziny, publiczność zmuszała do bisowania, bawiono się doskonale... W czasie koncertu nastąpiła prezentacja honorowego gościa festiwalu — Leonida Utisowa, którego polska publiczność pamięta z filmu „Świat się śmieje”.

Drugi dzień IX Międzynarodowego Festiwalu Piosenki był pierwszym punktowanym dniem. „Dzień Polski”, bo tak nazwano drugi dzień koncertu, składał się tylko z piosenek polskich kompozytorów i autorów, tym razem wykonanych w różnych wersjach językowych, w nowych interpretacjach i aranżacjach muzycznych.

Za najlepszą interpretację polskiej piosenki jury przyznało pierwszą nagrodę Muslim Magomajewowi ze Związku Radzieckiego. Śpiewał on rzeczywiście wspaniale. Druga nagroda przy-



Sopot przez kilka dni żył nie tylko plażą i słońcem. Najważniejsi byli piosenkarze, Festiwal i goście przybyli z całej Polski

padła piosenkarce bułgarskiej Yordance Christowej. Trzecią nagrodę otrzymała Hiszpanka Conchita Bautista.

Najważniejszym dniem na festiwalu był trzeci — „Dzień Międzynarodowy”, na którym wszyscy piosenkarze wykonywali piosenki w swym ojczystym języku, rodzimych kompozytorów, napisane specjalnie z okazji festiwalu sopockiego w 1969 r.

Jury miało ciężkie zadanie, musiało spośród dwudziestu sześciu piosenek wybrać trzy najlepsze. Po skończonym koncercie wszyscy z niecierpliwością czekali na werdykt międzynarodowego jury.

Piosenkę „Maria Consuelo” postawiono na pierwszym miejscu, śpiewał ją w języku francuskim Henri Des ze Szwajcarii. Drugą nagrodę otrzymała piosenka francuska „La table habituelle”, którą aktorsko wykonał Henri Tachan z Francji. Trzecią przyznano utworowi „When you love me” (muzyka Alan Moorhouse, słowa Peter Warne) w wykonaniu Angielki Patsy Mac Lean. Nagrodę dziennikarzy otrzymał przedstawiciel Luksemburga Henri Seroka. Trzeba tu koniecznie dodać, że pan Des i pan Tachan byli kompozytorami piosenek, za które otrzymali zaszczytne wyróżnienie.

HENRI DES — Szwajcar, obecnie mieszka w Paryżu. Już od dziecka grał na gitarze i próbował komponować piosenki. Był sprzedawcą, robotnikiem, ale nigdy nie rozstawał się z gitarą. Wreszcie trafił do Radia Lausanne, tam poznał Salvatore Adamo, który namówił go, aby nagrał pierwszą płytę.

Obecnie ma już ich wiele i stale nagrywa nowe dla firmy A. Z. Jego piosenka była zarówno w melodii, jak i słowach echem minionej wojny i choć mieli do niej zastrzeżenia różnego rodzaju „koneserzy”, to jednak podobała się milionom widzów i radiosłuchaczy, była bowiem treścią życia niejednej polskiej rodziny w latach 1939—1945.

HENRI TACHAN po kilku latach pracy zawodowej hotelarza w Paryżu wyjeżdża do Kanady, gdzie debiutuje na scenie kabaretu w Montrealu. Tam zaprzyjaźnił się z Jacques Brelem, za którego namową wraca do Francji i zaczyna uczyć się śpiewać, a swoje talenty poetyckie z powodzeniem przerabia na doskonałe teksty piosenek. To daje nieoczekiwane rezultaty. Wszyscy spece od piosenki, którzy zebrał się w Sopocie, stwierdzili, że Henri Tachan to wielki talent piosenkarski, będzie on niewątpliwie następcą sławnego Aznavoura.

Trzeci z Henryków, to Henri SEROKA z Luksemburga. Jest z pochodzenia Polakiem. Ojciec Henryka urodził się w Warszawie i nadal tam zamieszkuje. Matka jest Belgijką. Choć nie zna języka polskiego, Henri twierdzi, że czuje się w połowie Polakiem. Ojciec przyjechał z Warszawy podziwiać swego syna i nie musiał się wstydzić. Henri zaśpiewał polską „Dziękuję ci”. Wszystkim podobała się ta piosenka w jego wykonaniu. Tuż przed sopockim festiwalem śpiewał ją w te-

lewizji francuskiej. SEROKA już od paru lat stara się lansować polską piosenkę na zachodnich estradach. „Piosenki te mają wielkie powodzenie” — twierdzi. Ostatnio jedną z nich nagrał na płytę, jest już w sprzedaży. Henri jest rozmiłowany w muzyce poważnej, godzinami potrafi słuchać utworów Mozarta i Chopina.

Czwartym dniem Festiwalu Piosenki w Sopocie był „Dzień Płyty”. W dniu tym piosenkarze delegowani przez wytwórnie płyt z różnych krajów prezentowali poza konkursem piosenki z własnego repertuaru. Nie ma przesady w twierdzeniu, że Sopot przez cztery dni rozbrzmiewał piosenką, ponieważ już od rana odbywały się różne muzyczne imprezy towarzyszące. Na estradach Sopotu występowały czołowe zespoły młodzieżowe, takie jak: „No to co”, „Skaldowie”, „ABC”, zespół „Breakout”, „Alibabki” oraz Stan Borys z zespołem „Bizony” i wiele innych zespołów polskich i zagranicznych.

Organizatorzy bardzo się napracowali, lecz trud ich nie poszedł na marne. Nawet Henryk Debich — dyrektor Orkiestry Polskiego Radia i Andrzej Kurylewicz — kierownik muzyczny Festiwalu, którzy przez cztery dni i noce bez przerwy byli na nogach, usmiechali się po zakończeniu w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Tak, Sopot nie potrafiłby już żyć bez piosenki. Międzynarodowy Festiwal Piosenki w tym mieście ma już dziewięć lat, a to już jest historia.

Do zobaczenia w 1970 roku na X — Jubileuszowym Festiwalu Piosenki w Sopocie!!!

Tekst: Krzysztof PRÓCHNICKI
Zdjęcia: Andrzej WIERNICKI

ka Conchita Bautista śpiewała i tańczyła



W 30 rocznicę Września

ZAPOMNIEĆ NIE MOŻNA...

(Rozmowa z Bogdanem Ziarkowskim)

Bogdan Ziarkowski est né en 1924 à Calonne-Ricouart. Entré dans la Résistance en août 1940, à l'âge de seize ans, il prit part à de nombreux sabotages et actions armées. Les Nazis l'arrêtèrent le 15 septembre 1942. Incarcéré d'abord à Béthune, il fut ensuite transféré à Douai, puis connu tour à tour les geôles d'Arras, de Clervaux, Blois, Compiègne, Poissy, Fresnes, pour être finalement déporté à Mauthausen. Aujourd'hui Bogdan Ziarkowski habite Fouquières-les-Lens (Pas-de-Calais). Il est titulaire de nombreuses décorations, et notamment de la Croix de Guerre 1939-1945 et de la Médaille Militaire. A l'occasion du 30-ème anniversaire de l'agression hitlérienne contre la Pologne, nous lui avons demandé de bien vouloir évoquer ses souvenirs de cette nuit entre toutes noire et gluante que fut l'occupation nazie.

— Je me souviens que la nouvelle de l'agression hitlérienne contre la Pologne m'avait rempli de colère et d'indignation — nous a-t-il dit. — Nourri dans l'esprit de la lutte contre le fascisme, je savais bien, malgré mon jeune âge, de quoi les Nazis étaient capables. Mais à ce moment — là je n'arrivais pas encore à croire que la France allait bientôt être elle aussi occupée...

C'est après avoir vu Courrières et Oignies brûlés par l'occupant que je me suis engagé dans les F.T.P. Je pense que j'ai fait ce qu'il fallait faire — le fascisme devait être écrasé à tout prix.

Cette guerre fut la plus cruelle de toutes les guerres. Nous ne combattions par des hommes, mais de véritables brutes, des démons. Pour les avoir vu à l'oeuvre dans les prisons et à Mauthausen, je comprends parfaitement que dans des pays comme la Pologne, où ils se sont conduits en monstres sanguinaires, on ne puisse pas oublier. Non, nous autres escapés nous ne pouvons pas oublier, bien plus, il est de notre devoir de ne pas oublier et de parler de ce que nous avons vécu aux jeunes.



Bogdan Ziarkowski (1942). Zdjęcie zrobione na 15 dni przed aresztowaniem naszego rozmówcy przez Niemców

— Kiedy wybuchła druga wojna światowa, byłem jeszcze młodzikim, zupełnym szczeniakiem — miałem zaledwie 15 lat — ale mimo to zdawałem sobie sprawę z tego, że nadciąga straszna burza dziejowa. Nasza rodzina osiedlona była we Francji od roku 1923. Ojciec, były Hallerczyk — pamiętam, że często wspominał o tym, iż do Francji przyjechał w mundurze armii Hallera; był świadomym antyfaszystą i antyfaszystowsko nastawioną była także moja matka. W domu często mówiono o tej strasznej rzezi, jaką była pierwsza wojna światowa. Dlatego też wieść o wybuchu wojny przejęła mnie niewypowiedzianym lękiem.

Ale prócz lęku natychmiast odezwał się również we mnie z niezmierną siłą gniew, bunt przeciwko niemieckim faszystom. Na myśl o tym, że hitlerowcy zaatakowali Polskę, że palą, niszczą, rabują, poniewierają i mordują naszych Rodaków, serce pękało mi z bólu. To nie są puste słowa, tak czułem, tak przeżywałem wrzesień 1939 r. i tak przeżywali tamte tragiczne dni wszyscy zamieszkałi na Nordzie Polacy. Ludzi żarla rozpacz, wiele płakało. Starsi moi koledzy z kopalni — od czternastego roku życia, to znaczy od 1938 r. pracowałem w kopalni — pośpieszyli do armii gen. Sikorskiego...

W to, że naziści wkroczą niebawem także i do Francji, nikt z nas wówczas nie wierzył. „Co najwyżej ucierpimy trochę od nalotów, od bombardowań i na tym się skończy” — myśleliśmy. Klęska Francji w 1940 r. uderzyła w nas jak grom z jasnego nieba. Pamiętam zawodzące głosy syren alarmowych. Doskonale pamiętam, jak ewakuowano nas — nas, to znaczy mieszkańców Fouquières-les-Lens i okolicznych osiedli — w kierunku Bruay-en-Artois. Przypominam sobie wjazd Niemców do Mesnil-les-Ruitz — to jest taka mała miejscowość koło Barlin, w której znaleźliśmy wówczas schronienie. Ulokowano nas tam w

WIEŚ JEDNA Z WIELU

Dokończenie ze str. 11

Od 1962 roku jej szeregi wzmocniły się... kobietami. Tak — to nie żarty! Pani Maria Rozenbajgier pozardrościła sławy dzielnym strażakom i utworzyła żeńską drużynę. Początkowo „strażaczki” były obiektem dowcipów mężczyzn, ale kiedy w czasie niebezpiecznego pożaru na równi z nimi sprawnie ugasiły palące się gospodarstwo, skończyły się żarty i odtąd 15 dziewcząt-strażaczek traktuje się z należytym szacunkiem.

Osobnym powodem do dumy Haczowa jest doprowadzenie gazu do wszystkich domów. Z własnych funduszy zakupiono wiele kilometrów rur, własnymi rękoma cała wieś pracowała przy ich założeniu i doprowadzeniu gazu. Dziś, po kilku latach, z żadnego kominowa we wsi nie wydobywa się dym, oczywiście latem, zimą czynne są tradycyjne piece, przy których jakos przylutniej.

Wiele się w Haczowie budoje, nie-rzadko obok starej rozwalającej się chałupy wyrastają mury pięknej wili a obok zabudowań gospodarczych — garaż. Nie zawdzięczają tego haczowianie ani wielkim spadkom z zagra-

„MISS COUTURE” A. HUDYKA

Magazyn: 55, rue de Bouvines LILLE (Fives) tel. 52-08-86

Siedziba: 199, rue de Paris LILLE Tel. 53-10-03

Konfekcja męska, damska i dziecięca

■ suknie ■ spódnice ■ swetry

■ bluzki ■ popeliny ■ tergal i płaszcze

PIERZE ■ WSYPY ■ POSZWY ■ DAMASY

Ceny niskie

Na żądanie wysyłamy próbki

gmachu merostwa, razem z nami mieszkali uchodźcy z Belgii. Niemcy wjechali na motocyklach z przyczepami. Mało brakowało, a byłiby wtedy rozstrzelali mojego brata Zdzisława — tylko dlatego, że wyszedł z merostwa na ulicę. Ale i tak go rozstrzelali... tylko że w dwa lata później, w 1942 r., za działalność konspiracyjną...

Niebawem wróciliśmy do domu. Okazało się, że pod naszą nieobecność Niemcy dokonali w naszej okolicy strasznych zbrodni: spalili Courrières i Oignies, rozstrzelali wielu Bogu ducha winnych cywilów... Cała krew zawrzała we mnie z gniewu i oburzenia. W sierpniu 1940 r. wstąpiłem do „Résistance”.

Naszym rozmówcą jest Bogdan Ziarkowski z Fouquières-les-Lens (Pas-de-Calais). Człowiek, który walczył z niemieckim okupantem, który został przez hitlerowskich zbirów zepchnięty na samo dno, który za swoją działalność we francuskim Ruchu Oporu był więziony i katowany, który doświadczył piekła, jakim był obóz w Mauthausen. Dzielnym polskim i francuskim patriotą, odznaczony wysokimi francuskimi orderami wojskowymi (m. in. Médaille Militaire, Croix de Guerre 1939-1945 avec Palme, Croix du Combattant Volontaire, Médaille du Déporté Résistant). Świadek, któremu można zaufać.

— W trakcie ostatniej wojny przyszło nam walczyć z bestiami — ciągnie dalej. Hitlerowscy faszyci wyzuści byli najzupełniej z ludzkich uczuć. Wprawdzie u nas, we Francji, z rzadka tylko odsłaniali się oni takimi, jakimi byli w istocie, upust zezwierzęceniu dawali tylko w więzieniach, ale przecież ja właśnie siedziałem w ich więzieniach — byłem w Béthune, Douai, Arras, Clervaux, Blois, Compiègne, Poissy, Fresnes — no a poza tym ich niewypowiedzianego wprost

bestialstwa doświadczyłem także w Mauthausen. Wiem również o tym, że w takich krajach jak Polska, Jugosławia, Związek Radziecki mordowali oni i katowali ludzi po prostu dla przyjemności, niejako dla zabicia czasu... I dlatego doskonale rozumiem, że naród polski nie może zapomnieć, dlatego jestem zdania, że zapomnieć nie wolno, że wręcz przeciwnie — o tej najstraszliwszej z wojen należy pisać, mówić, opowiadać możliwie najobszerniej. Zwłaszcza ludziom młodym.

Pytacie, jakie w tę trzydziestą już oto z kolei rocznicę tragicznego września 1939 r. nawiedzają mnie wspomnienia? Otóż myślę o moich poległych i na śmierć skątowanych kolegach z Résistance, a przede wszystkim o Kazimierzu Stańczyku, którego Niemcy zabili w Mauthausen na moich oczach. Stańczyk był moim serdecznym przyjaciół. Razem pracowaliśmy w kopalni, razem działaliśmy w podziemiu, razem byliśmy w więzieniu w Douai. Nie ma biedak nawet grobu, jego prochy zostały w Mauthausen. W więzieniu w Douai przyrzekłem mu — ot tak, żartem — obaj mieliśmy przecież nadzieję, że przeżyjemy wojnę, iż jeśli zginie, to postaram się o to, aby jego nazwisko zostało wyryte na pomniku poległych w jego rodzinnym Harnes. Przyrzeczenia tego dotrzymałem. Starłem się także usilnie o to, aby jedna z ulic w Harnes nosiła nazwę ulicy Kazimierza Stańczyka, ale — niestety — nie udało mi się dopiąć celu. Chciałbym zwrócić się w tej sprawie za waszym pośrednictwem do miast polskich, w których żyją repatrianci z Francji. Może któreś z nich zechciałoby mieć u siebie ulicę noszącą imię tego prawdziwego bohatera, który oddał swoje młodziutkie życie nie tylko za Francję, ale również za Polskę? Bardzo was o to proszę: zechciejcie wydrukować tę moją prośbę na poczesnym miejscu i tłustym drukiem...

dobre warunki, to chętnych na objęcie tu posad nauczycielskich będzie wielu.

Na koniec naszej wizyty poznaliśmy pana Władysława Rozenbajgiera, byłego pracownika gminy. Jest on prawdziwym kronikarzem Haczowa. Odkąd przeszedł na emeryturę, postawił sobie za cel opracowanie kroniki wsi od 1945 roku po dzień dzisiejszy. Wcześniejszy okres opracował i wydał jeden z haczowskich rodaków prof. Stanisław Rymar. I co się z monografią prof. Rymara okazało? — Ze trafiliśmy do wsi założonej w średniowieczu, której akt lokacyjny nadał sam król Władysław Jagiełło w 1388 roku. Dowiedzieliśmy się też z pracy starego profesora o pięknych tradycjach wsi, o ludziach, których wydała, a nazwiska ich dumnie figurują wśród uczonych polskich jak choćby historyk lwowski prof. Józef Ekkert czy prof. Władysław Filar. Łatwo również zrozumieć, dlaczego wśród 750 rodzin haczowskich powtarza się najczęściej tylko kilkanaście nazwisk. Haczowa bowiem, wsi ongiś królewskiej, niełatwo opuścić. Tu się ludzie rodzą, żyją i pragną tu umrzeć. Kochają swą wieś i są z niej dumni.

Tekst: Krystyna MANKOWSKA
Foto: Andrzej WIERNICKI

LA LEGENDE DE JURATA ET DE L'AMBRE JAUNE

PROVENANT de l'horizon bleu les courtes vagues de la Baltique s'élançant sur le sable fin de la presqu'île de Hel qui protège la baie de Puck. Les mouettes battent des ailes en criant. Aux environs de Jurata, petite localité balnéaire de la presqu'île de Hel, les bruits de la mer et les cris d'oiseaux semblent se confondre en un chant évoquant la belle histoire d'amour qui, selon la légende, s'était passée là il y a très, très longtemps de cela...

Un jour, un jeune pêcheur de ces lieux s'éprit de Jurata, belle prêtresse du dieu slave Perkun. L'hymen fut de courte durée car Perkun le découvrit et pour se venger foudroya le jeune pêcheur. La belle Jurata pleura son amant disparu et ses larmes tombées à la mer se transformèrent dans les profondeurs en un précieux trésor: l'ambre.

On en trouve à divers endroits de la côte polonaise mais dans la localité baptisée du nom de la prêtresse Jurata les morceaux d'ambre sont particulièrement nombreux. Aussi, depuis des temps très reculés, les habitants de ce rivage longent la plage, jettent de fins filets dans l'écume à la recherche de ces larmes figées, de ce trésor de la Baltique.

Prenez un morceau d'ambre jaune dans la main. Il cache une énigme, il brille de toutes ses légendes... car il y en a plusieurs.

Selon la mythologie grecque les anciens liaient la naissance de l'ambre, qu'ils appelaient électron, au mythe de la mort de Phaéon foudroyé par Zeus pour son incartade avec le char du Soleil. Phaéon précipité dans l'Eridan fut pleuré amèrement par ses soeurs transformées en arbres. Les Hellènes attribuaient à l'ambre un pouvoir magique. Le sage Thalès de Milet croyait que ces morceaux d'électrons avaient une âme.

Les siècles passèrent et ce penchant pour l'ambre ne faiblit pas. Aux temps de l'empire de Rome, les gladiateurs affrontant les fauves dans l'arène étaient convaincus que leurs amulettes d'ambre les défendaient contre la férocité des bêtes, contre la mort. La beauté de ces boules mystérieuses frappa aussi les élégantes de Rome qui, plus pratiques et sans se demander d'où elles provenaient, en ornaient leur bras, leurs cous et poudraient leurs cheveux bouclés avec de l'ambre pulvérisé. Leurs palais sentaient bon le parfum de l'ambre brûlé qu'elles respiraient avec délices.

En ce temps là Rome régnait sur le monde et les femmes régnaient sur Rome. Pour satisfaire leurs caprices les habiles marchands quittaient la ville aux sept collines et se dirigeaient vers le nord, vers le pays des dieux païens Swarozyc et Perkun dont les visages noircis étaient cachés par les volutes d'une fumée d'ambre. C'était pour elles qu'à travers les denses forêts et les marécages ils bâtirent la Route de l'ambre. Au nord des Carpates la Vistule leur indiquait le chemin conduisant aux richesses cachées de la Baltique. La Route de l'ambre favorisa alors grandement aussi le commerce entre les populations du nord et du sud de l'Europe, commerce qui ne portait pas uniquement sur cet article précieux.

Il en fut de même plus tard lorsque, venant du Proche-Orient, des caravanes empruntèrent la même route pour se rendre sur la côte de la Baltique. Le chemin était long et comportait des risques. Cependant, revenant de leurs expéditions les fidèles du Prophète étaient plutôt satisfaits. Ils ramenaient du pays des Wendes au bord de la Baltique ce don généreux de la mer qui faisait étinceler les yeux des Arabes à la peau bistrée.

L'or de la Baltique conserva sa valeur au cours des siècles suivants. La mer généreuse abandonnait sur la côte ses trésors et il suffisait de se baisser pour le ramasser. Mais la demande grandissait constamment et dans des temps plus récents on a procédé à des recherches non seulement au bord de la mer mais aussi à l'intérieur du pays. En résultat on découvrit de l'ambre dans d'autres régions également. Ces derniers temps des gi-

sements d'ambre ont été mis au jour non loin de la rivière Narew, c'est-à-dire à quelque deux cents kilomètres de la côte, dans les localités d'Ostrołęka et de Przasnysz. Comment s'explique ce phénomène?

Depuis les temps anciens le savoir de l'homme a fait d'énormes progrès et nous n'en sommes plus aux croyances des Grecs à propos des électrons. L'écolier qui s'est penché sur les sciences naturelles en sait plus long à présent sur la formation de l'ambre jaune que le sage Thalès de Milet.

Aujourd'hui, alors que le souvenir de la prêtresse Jurata n'a survécu que dans le nom d'une station balnéaire de la presqu'île de Hel, l'ambre, silencieux jusqu'à présent, nous a livré ses secrets. Il nous dévoile un monde disparu, des plantes, des animaux et des continents que l'homme n'a pas connus. Comme l'a dit Adam Mickiewicz dans son livre intitulé Konrad Wallenrod: "...un papillon fantastique que l'ambre a englouti, pour des siècles et des siècles restera inchangé".

L'ambre... c'est une bonne partie de l'histoire de notre Terre. Miroitant à la lumière, les bulles d'air que contiennent certains morceaux d'ambre proviennent de l'atmosphère qui était celle de l'oligocène. Dans d'autres des araignées et des mouches, enfermées dans leurs sarcophages d'or, se sont très bien conservées. Elles sont les représentantes de la vie qui régnait à cette époque et les témoins de la tragédie qui se déroula il y a de cela une quinzaine de millions d'années.

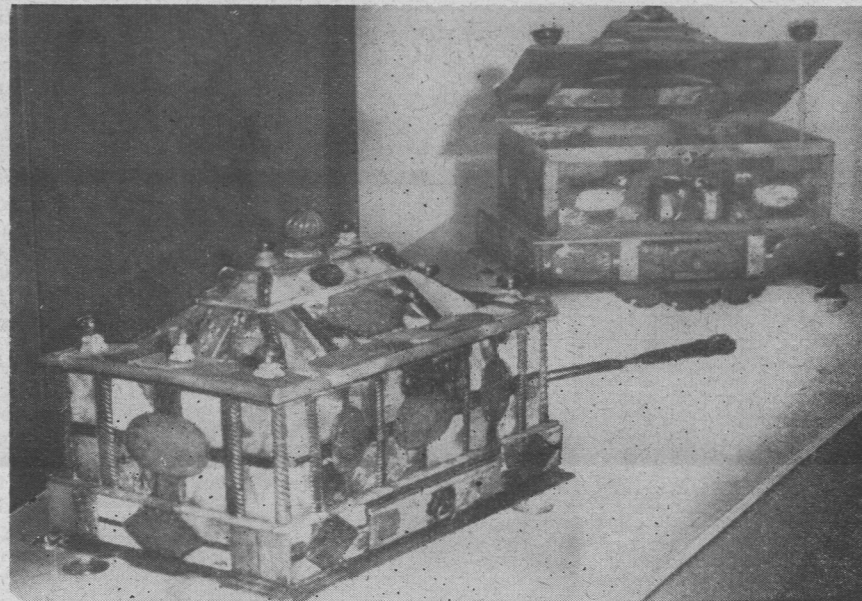
Ces insectes vivaient dans de luxuriantes forêts vierges, se posaient sur les arbres qui ont subsisté jusqu'à nos jours sous l'aspect de fossiles. A l'endroit où maintenant grondent les vagues de la Baltique poussait jadis une flore exubérante. Sous une chaleur tropicale croissaient de grandes fougères, des palmiers, des mélèzes, des cèdres et surtout des conifères. Sur cette végétation s'abattaient de violents orages. Les éclairs qui zébraient le ciel éclairaient ce décors fantasmagorique; secoués par des vents violents les grands arbres se brisaient avec fracas, accompagné des grondements du tonnerre.

L'accalmie venue les troncs mutilés se servaient de leur résine pour cicatriser les blessures. Et lorsque, après des ravages successifs, la mer envahit et submergea ce champ de bataille désolé, les larmes de résine se transformèrent lentement en ambre jaune. Il a fallu, bien sûr, des millions d'années pour que ce processus s'accomplisse.

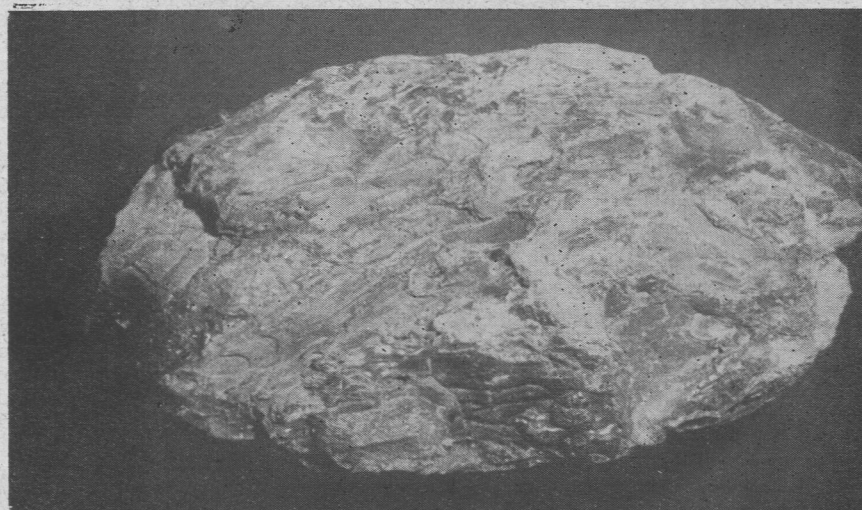
Aujourd'hui, tout comme il y a des millénaires, les tempêtes qui secouent la Baltique rejettent l'ambre sur la plage. Aujourd'hui tout comme au Moyen-Age, les mains habiles des artisans de la côte polonaise taillent dans ces pierres informes et légères des colliers, des bracelets, et confectionnent des caravelles, des coffrets ainsi que d'autres bibelots d'ornement. L'ambre possède des couleurs variées et chatoyantes. Il reflète toutes les nuances de la mer, assombrie par les tempêtes ou illuminée par les rayons du soleil.

Ainsi se termine la légende de Jurata, de ses larmes que la mer métamorphosa en or marin. La seconde richesse de Jurata — localité balnéaire est le tourisme, son extraordinaire situation sur la lagune qui lui offre deux belles plages dont l'une donne sur la pleine mer et l'autre sur la baie tranquille de Puck. De station balnéaire exclusive avant guerre, elle est devenue maintenant le lieu de repos des travailleurs et des enfants qui y viennent en colonies de vacances. Cette station possède nombre de maisons de repos gérées par le Fond de Vacances des Travailleurs, par Orbis et autres institutions qui s'occupent en Pologne des loisirs. Les pinèdes qui l'entourent, la mer toute proche assurent à Jurata un air des plus purs. Une bonne route et une ligne de chemin de fer facilitent les transports et l'accès à d'autres stations qui sont nombreuses dans les environs.

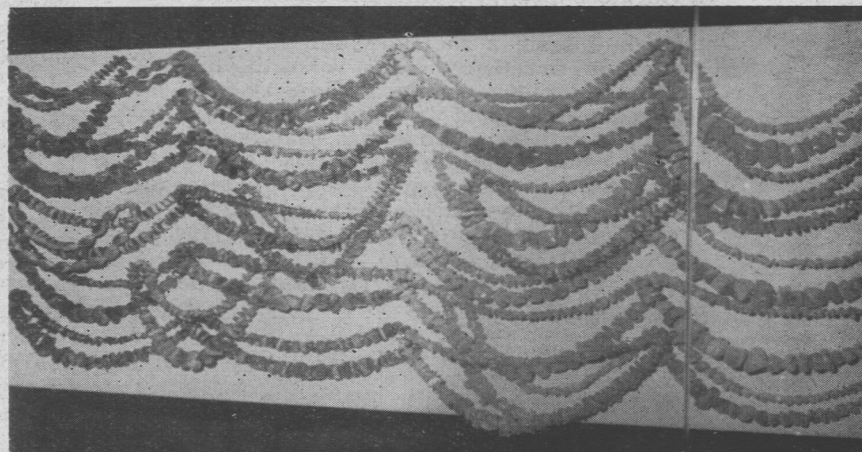
Ludwik KADUCZEK



Coffrets d'ambre oeuvre des artisans des XVI-XVII-èmes siècles

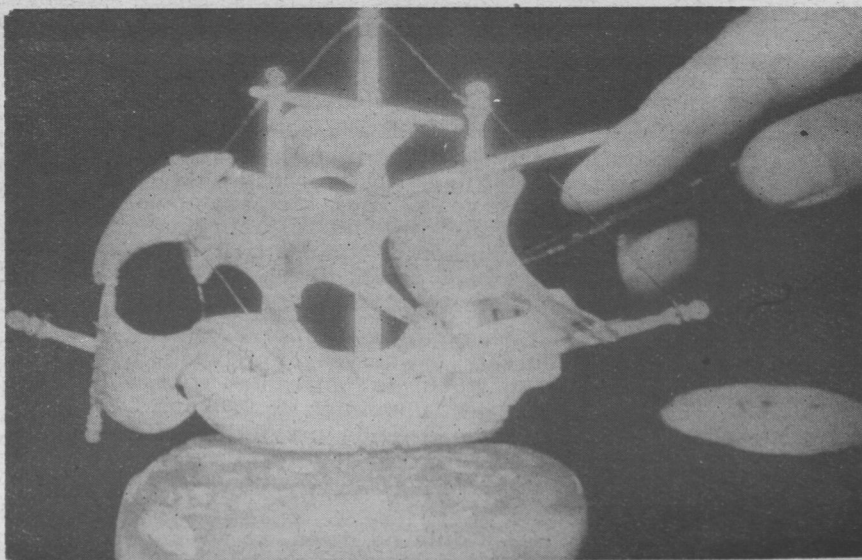


Belle pièce d'ambre brut destinée à être travaillée en joaillerie



Colliers, vendus également par „CEPELIA” dans divers pays

Voilier sur socle d'ambre, exécutés par un artisan contemporain



Władysław Umiński

ZNOJNY CHLEB



Nielatwe losy przypadły w udziale Sobiesławowi Mrockiemu i Witoldowi Grzymale na obcej ziemi za oceanem. Tułali się od plantacji kawy w Brazylii, przez puszcze i lasy, pływali czółnami indyjskimi po rwących rzekach, okresowo znajdowali pracę to na statkach, to w portach. Wreszcie przybyli po licznych przygodach do Pittsburga, gdzie spodziewali się kresu swych wędrówek w poszukiwaniu pracy i dachu nad głową. Niestety, i tam spotkał ich zawód. „Nareszcie po miesięcznej poniewierce i nędzy szczęście uśmiechnęło się Mrockiemu i jego towarzyszowi. Dostali miejsce w stalowni, dokąd już tak dawno pragnęli się wkroczyć” — pisze w pasjonującej książce emigranckiej Władysław Umiński. Grzymała otrzymał pracę — wśród setek bezrobotnych czekających miesiącami pod stalownią — w walcowni. Zaś Mrocki podjął zajęcie w oddziale wielkich pieców. Niezwykle ciężka praca nie przerażała ich, choć warunki w stalowni były trudne, a maszyny prymitywne. Właściciele fabryki nie dbali o zabezpieczenie ludzi przed wypadkami, cały więc czas młodzi Polacy narażali swe życie i zdrowie. Czy wytrwają w swym postanowieniu, czego się nauczą? O dalszych losach dwóch emigrantów czytamy poniżej.

Odcinek 36

A właściciele, którzy tak umieli naganiać swoich ludzi, pisali piękne artykuły w gazetach, chwalać się, do jakiego stopnia doskonałości potrafili doprowadzić organizację w swoich zakładach i jak wysoka jest u nich wydajność pracy; a inni im zazdrościli i od czasu do czasu zjawiali się w stalowni i przyglądali się z zaciekawieniem, niby w cyrku na przedstawieniu, robotnikom skaczącym od pieca do pieca, biegnącym od formy do formy z wielkimi tyglami roztopionej stali i innym dziwom, nie czując nawet na sobie pełnych nienawiści spojrzeń tych sztukmistrzów pędzonych głodem do piekielnej pracy.

Grzymała, który u siebie w domu pracował na roli za trzy złote, tutaj w Ameryce narzekał, że zarobek trzech dolarów dziennie ledwie mu wystarczy. A w jakim położeniu znajdowali się robotnicy obciążeni w dodatku rodzinami? Obdzierano ich niemiłosiernie na każdym kroku, poczynając od piekarzy i rzeźników, a kończąc na różnych wydrwigroszach, którzy błagali albo nawet oszukańczymi sposobami wyludzali od biedaków ciężko zapracowany grosz za różne rzeczy. W dodatku produkty spożywcze, jak wszędzie prawie w Ameryce, były często fałszowane, a prawo nie ścigało tych fałszerzy zarabiających na cudzym zdrowiu. Jeżeli się chciało jadać codziennie obiad, mieszkać w gospodzie i ubrać się choćby w niedzielę, to trzy dolary ledwie starczyły.

Robotnicy w stalowni, a zresztą w całym Pittsburgu, narzekali coraz głośniejsze, bo płaca w ciągu ostatniego roku pozostawała na tej samej stopie co dawniej, kiedy panował zastój w przemyśle; obecnie zaś fabrykanci nie podwyższali nikomu, chociaż byli zaważeni obciążeniami i robili podobno doskonałe interesy.

W warsztatach pojawili się niezadowoleni, którzy podburzali towarzyszy; opowiadali, że w innych miastach są znacznie wyższe zarobki, że dość jest wspomnieć się, a podniosą na pewno płacę dzienną przynajmniej o pół dolara. Ludzie ci robili powoli swoje i w stalowniach zaczął się ferment strajkowy.

Ferment rósł z dnia na dzień, aż wreszcie robotnicy wybrali delegatów spośród siebie

i posłali ich do zarządu stalowni z żądaniem podwyżki płacy o dwadzieścia pięć procent. Zarząd jednak stanowczo odmówił. Wobec tego robotnicy porozumiewając się zagrozili strajkiem, jeżeli w przeciągu trzech dni żądaniu ich nie stanie się zadość.

Strajk w oznaczonym czasie wybuchnął. Agitatorzy wypowiadali w warsztatach mowy do robotników przeciw zarządowi. Opowiadali, że akcjonariusze mieli w ubiegłym roku dwadzieścia dziewięć procent dochodu z przedsiębiorstwa, a robotnikom nie chcą nic użyć z tych kolosalnych zysków, że wobec polepszenia się warunków zbytu na towary metalowe byłoby głupstwem nie do darowania poprzestać na dawnej płacy; robotnicy słuchali ich chętnie. Odbyła się podobno w związku zawodowym walna narada z delegatami wszystkich oddziałów fabryki i nazajutrz nikt nie miał przyjść do roboty.

W tej sytuacji Grzymała namówił towarzysza, żeby szukali gdzie indziej tymczasowego zajęcia.

Rozpoczęła się więc dobrze im już znana wólczeja od fabryki do fabryki, od magazynu do magazynu.

Zaraz jednak przekonano się, że na taki sam sposób wzięto się mnóstwo innych robotników; spotykano więc na każdym niemal kroku swoich i nigdzie nie podobna było zacząć się nawet na parę dni.

Witold z dnia na dzień tracił wiarę w powodzenie strajku.

Ot, tak z przyzwyczajenia chodził co rano do fabryki i stawał przed zamkniętą bramą. Spotykał tam z tysiąc kolegów, którzy przyszlizli się dowiedzieć, czy fabrykanci nie ustąpili czasem i czy niebawem praca w stalowni znowu się nie zacznie. Ale mijały dni, a nic się nie zmieniło. Kominy stały nie uwięzione, jak dawniej, pióropuszcami dymu, olbrzymie młoty wisiały w powietrzu, kowadła nie jęczały pod ich uderzeniami, walcownie stały ciemne, jakby zamarłe w czarodziejskim śnie, piece wielkie stygły, niektóre nawet z metalem, który się w nich znajdował w chwili zawieszenia pracy.

W miarę tego jak czas upływał, a dyrektorzy nie ustępowali, wśród robotników zapanał coraz bardziej niepokojący nastrój. Co dzień przychodziło ich więcej do stalowni, aż wreszcie za namową jakiegoś gorętszego tłum wpadł do sali, gdzie stały maszyny, zaczął łamać i niszczyć urządzenia za pomocą żelaznych drągów. Była to zemsta na fabrykantach, którzy, jak mówili robotnicy, postanowili ich ogłodzić i zmusić do ustępstw. Ale fabrykanci przewidzieli taką ewentualność i w pół godziny już zjawiała się konna policja z rewolwerami i pałkami gumowymi. Wpadła w tłum i zaczęła bić na prawo i na lewo. Dostało się boleśnie kilku dziesięciu robotnikom, najwięcej zaś plag oberwali ci, co nie zdążyli zawczasu wycofać się z fabryki. Policjanci zbili ich niemiłosiernie i kilku schwytych aresztowano.

Fabrykanci postawili wojsko przy stalowni, policja zaś nie pozwoliła zgromadzać się strajkującym.

Po kilku dniach rozeszła się wieść, że akcjonariusze sprowadzają sobie nowych robotników na miejsce tych, którzy nie chcą pracować. Jakieś służbiste towarzystwo otrzymawszy po trzy dolary od głowy i zwrot kosztów kolejowych sprowadziło z sąsiedniego stanu pięć tysięcy zgłodniałych ludzi, gotowych podjąć pracę na wszelkich warunkach. Robotnicy przyjęli łamistrąjków pogroźkami, ale fabrykanci niewiele sobie z tego robili.

Łamistrąjki zabrali się do pracy pod opieką policji i stalownię znowu w ruch puszczono.

Tak przeszło kilka dni; wreszcie Grzymała stracił cierpliwość.

— Pójdę gdzie indziej szukać roboty, a najpewniej na wieś powędruję.

Namawiał Mrockiego, żeby z nim jechał, ale ten, nie mając pieniędzy, w zimie nie chciał się puszczać na nowe przygody; Grzymała więc, choć z żalem, pożegnał towarzysza prosząc, by często doń pisał.

— Na wiosnę spotkamy się na wsi — mówił wsiadając do wagonu — i razem zgodzimy się gdzieś na fermę. To ci będzie życie! Ja wnet napiszę, gdy tylko co znajdę dla siebie. A gdyby mi się dobrze działo, to i

ciebie sprowadzę, bośmy przecież stare kamraty.

— Życzę ci, żebyś głodem nie przymierał, boć teraz w zimie bardzo ciężko — mówił na pożegnanie Sobiesław całując bladą i pożółkłą twarz pocziwego Kujawiaka.

Uściskali się jak rodzeni bracia. Pociąg potoczył się w dal i biedny Mrocki pozostał sam jeden w Pittsburgu.

Przez chwilę żałował niemal, że nie towarzyszy Grzymale, ale się opamiętał.

„Głupstwo nieborak robi, widzi mi się — pomyślał. — Boję się o niego”.

Po kilku dniach strajkujący wrócili do pracy. Fabrykanci nie postąpili ani jednego centa; przeciwnie, wyzyskując jeszcze bardziej porażkę robotników, obniżyli płacę w niektórych oddziałach.

Mrocki znow znalazł się w stalowni, ale przeniesiono go do druciarni, gdzie z dużych bloków żelaza maszyny wyciągały coraz cieńszy drut.

Mrocki musiał chwycić koniec żelaznej żmii wypełzającej z drutownicy i wsadzać jej łeb do innej maszyny, która ją jeszcze bardziej wydłużała.

Nie udawało mu się to z początku; czasem widział, jak wąż ognisty dotyka niemal jego nóg i tylko z wielkim natężeniem unikał jego parzących uścisków.

Czuł się w ogóle zdenerwowany, nieswój, nigdzie nie chodził i zaraz z fabryki wracał do domu, kładł się na łóżku i spał kamieniem snem do rana.

W duszy Mrockiego zaczynał podnosić się bunt przeciwko takiemu życiu.

Napisał pewnej niedzieli długi list do rodziców, w którym opowiedział swoje losy, i to mu przyniosło ulgę.

W wolnych chwilach rozmyślał nad tym, jakby się wydobyć z tego piekła, w którym się znalazł, i powoli dochodził do przekonania, że musi to uczynić koniecznie, inaczej zginie marnie. Marzył nieraz o Ameryce, a teraz kiedy się w niej znalazł, nabierał zupełnie obrzydzenia do tego kraju, gdzie spotykał przemoc, wyzysk i bezprawie na każdym kroku.

I w duszy jego zapadło postanowienie. Zaprażył, podobnie jak Grzymała, pracy na otwartym powietrzu, na zielonych polach.

Musiał jednak czekać wiosny, która w Ameryce nieraz późno się zaczyna. Tydzień schodził za tygodniem, a mrozy nie ustępowały.

Pewnego dnia w początkach kwietnia Mrocki poszedł o świcie do fabryki, czując się bardziej niż zwykle przygnębiony i osłabiony. Nerwy jego, sterane ciągłymi przejściami, zaczynały się wyczerpywać.

Chwycił swoje cęgi i stanął przed walcami, z których wypełzał czerwony wąż. Teraz już miał wielką wprawę w tej czynności. Jeszcze wąż znajdował się pomiędzy stalowymi wargami, a już czyhała na niego obcęg Sobiesława, chwytając go z błyskawiczną szybkością i ciągnąc do innej paszczy żelaznej, która pożerała go z głuchym warczeniem.

Ale dnia tego Mrocki czuł się źle. Do obiadu pracował jeszcze jako tako. Pod wieczór opanowało go znużenie, z którym daremnie walczył.

W oczach mu się dwoiło. Stawał chwilaми, oczekując na powrót węża ognistego, i zapadał w jakieś odrętwienie.

Stoi oparty na nogach i patrzy w otwór gardzieli.

Patrzy, nie widzi, jak żmija wychyla się. Już wypełzła z dziesięć stóp, a on jeszcze stoi. Towarzysze krzyczą, Mrocki podnosi głowę i biegnie do żmii wijącej się po czarnej podłodze, goni z obcęgami za wypuszczonym z uwięzi potworem, ale jego wściekłe skręty unikają zębów stalowych. Zaczyna się straszna okrutna gra; Mrocki widzi, jak skręty ogniste okrażają go, jak pełzają u jego stóp. Spomiędzy ciemnych gardzieli maszyny wysuwają się coraz to nowe zwoje tego potwora, napełniają salę, syczą dotykając mokrej podłogi.

Dalszy ciąg nastąpi

POLACY W HIMALAJACH

ZA DWA LATA, w 1971 r., polscy alpinisci, a wspólnie z nimi wszyscy turyści i krajoznawcy w Polsce, będą obchodzić stulecie powstania Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, jednego z pierwszych towarzystw turystycznych na świecie. PTT było inicjatorem polskiej alpinistyki i turystyki wysokogórskiej. Na karty historii PTT polscy alpinisci wpisali piękne sukcesy sportowe i turystyczne, a także naukowe i poznawcze. PTT zorganizowało szereg wypraw wysokogórskich na wszystkich kontynentach globu, czym przyczyniło się do usunięcia z map świata niejednej białej plamy i do utrwalenia czołowej pozycji polskiej turystyki wysokogórskiej w alpinizmie światowym.

Dla uczczenia stulecia tak sławnego towarzystwa polscy alpinisci przygotowują na 1971 r. wyprawę w najwyższe góry świata — Himalaje. Będzie to już druga wyprawa w te niebotyczne góry. Po raz pierwszy bowiem oglądały Himalaje polską wyprawę w 1939 r. Była to najchlubniejsza karta w dziejach polskich ekspedycji wysokogórskich. Szturmowanie niebotycznych masywów himalajskich wymaga bowiem niezwykle odwagi, wytrwałości, bardzo starannego psychicznego i fizycznego przygotowania ludzi, a także doboru i przygotowania sprzętu. Wyprawę w 1971 r. poprzedza głęboki „rekonesans”, stanowiący przygotowanie do tego niezwykle trudnego zadania. Oto w sierpniu br. wyruszyła z Warszawy ekspedycja wysokogórska w góry Karakorum. Czas trwania tej wyprawy obliczono na trzy miesiące. Ma ona nie tylko przygotować ekipę himalajską do czekających ją trudów, ale także pomyślana została jako wkład polskich alpinistów w ogólnonarodowe obchody dla uczczenia 25-lecia PRL. Jednocześnie ma ona przypomnieć polską wyprawę w Himalaje sprzed 30 laty.

Góry Karakorum należą do najwyższych masywów górskich świata i są przedłużeniem łańcuchów himalajskich w kierunku północnym między 74 a 82 południem. Stanowią też wododział Indusu i Tarymu. Leżą bowiem na południowy wschód od Pamiru i Hindukuszu między Kueń-Luniem i Himalajami. Góry Karakorum są po Himalajach najwyższymi górami globu ziemskiego. Średnia wysokość całego łańcucha wynosi około 6 tys. m. Niektóre szczyty wznoszą się jednak nawet ponad 7 tys. m.

Polska wyprawa postanowiła osiągnąć jeden z najwyższych szczytów tego gigantycznego łańcucha, o długości ponad 800 km, a mianowicie szczyt Khiangyang Kish, wznoszący się do wysokości 7852 m. Szczytu tego nikt jeszcze dotąd nie zdobył. Jest więc w alpinistycznym rozumieniu „górami dziewiczą” i ew. zdobycie jej usunie jeszcze jedną białą plamę z map światowego ruchu wysokogórskiego. Urozmaica surowy krajobraz potężnego masywu Karakorum kilka wielkich lodowców. M. in. Baltoro, Batura i największy wśród nich Hispar o długości 61 km. Góra Khiangyang Kish wznosi się w otoczeniu tego właśnie lodowca. Również inny olbrzymi górski, Malubating sąsiaduje z tym lodowcem. Wysokość jego wynosi 7459 m. Polska wyprawa zamierza („za jednym zamachem”) zdobyć także i ten szczyt.

Kierownikiem wyprawy w Karakorum jest znany polski alpinista i taternik, doświadczony uczestnik wypraw na Eiger i w Pamir, R. Szafirski, mieszkaniec Zakopanego, od najmłodszych lat „spoufalony” z górami. Działa wraz z nim trójka tej „niebotycznej” ekspedycji: A. Hemrich, A. Kuś, R. Petrycki.

Od wyników tej wyprawy zależy w znacznym stopniu przygotowanie następnej w Himalaje. Będzie to szósta wyprawa w góry Azji Środkowej. Do najslawniejszych, jak dotąd, należy wyprawa zorganizowana w 1939 r. przez Klub Wysokogórski PTT pod kierownictwem inż. A. Karpińskiego. Wzięli w niej udział: dr Jakub Bujak i inż. Janusz Klarner. Ci dzielni polscy alpinisci zdobyli wówczas jeden z najwyższych szczytów himalajskich Nanda Devi East o wysokości 7434 m drogą prowadzącą z lodowca Lawan na przełęcz Nanda Devi Khal w Himalajach

Garhwalu. Tę wyprawę szczegółowo opisał jej uczestnik inż. J. Klarner w pracy „Polska wyprawa w Himalaje”.

Po drugiej wojnie światowej do najsłynniejszych polskich wypraw w góry Azji Środkowej należała ekspedycja w 1966 r. w Hindukusz. W czasie tej pełnej nieoczekiwanych przygód ekspedycji w groźne góry Polacy zdobyli w ciągu zaledwie kilku tygodni aż jedenaście szczytów. Między innymi Noszak, liczący 7492 m wysokości. Wyprawa ta tym jeszcze stała się pamiętną w historii alpinistyki polskiej, że padł wówczas kobiecy rekord wysokogórskiej wysokości. Członkini tej wyprawy, Danuta Baranowska, w towarzystwie R. Sledzińskiego wspięła się na szczyt Aspe Safer o wysokości 6450 m. Niestety, ekspedycja utraciła jednego z uczestników. Zginął w śnieżnej lawinie J. Potocki.

Masyw Hindukuszu, obok Himalajów i Karakorum, stanowi najpotęż-

niejszy górski system na ziemi. Jego długość wynosi około 1000 km, a szerokość dochodzi od 50 do 500 km, wysokość zaś od 4 do 7 tys. m. Jest to więc ogromna górská kraina o zróżnicowanym klimacie, na której przebiegają czyha na śmiałków pragnących wydrzeć jej tajemnice, ogrom niebezpieczeństw.

Ale do zwalczania niebezpieczeństw wysokogórskich wypraw alpinisci polscy coraz lepiej są przygotowani. Po połączeniu w 1950 r. Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego z Polskim Towarzystwem Krajoznawczym w jedną organizację, a mianowicie w Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, przed polską turystyką wysokogórską otworzyły się nowe możliwości rozwojowe. Dzięki temu polskich alpinistów coraz częściej ogładają najwyższe masywy górskie wszystkich kontynentów.

Ludomir RUBACH

NOTATNIK SPORTOWCA

PIŁKA NOŻNA

MACON. LE CREUSOT. Były gracz klubu Brany-Montceau **Kazimierz Sołtyk**, urodzony w Le Creusot, zgłosił przystąpienie do klubu FC Macon. Będzie to znaczne wzmocnienie tego klubu w nadchodzącym sezonie.

HOUDAIN. W bieżącym sezonie występować będą w klubie „Union Sportive” w rozmaitych sekcjach m. in. gracze: **Kunik, Wardeński, Kosmałski, Myszkowski, Mikołajczak, Kasper-**

LONDYŃSKI BRAMKARZ NA WZASACH W POLSCE

Prasa krajowa doniosła, że młody bramkarz popularnego londyńskiego klubu piłkarskiego Fulham — **Mike John Byrne** spędzał urlop w Polsce. Okazuje się, że piłkarz ten ma żonę **Polkę, warszawiankę — p. Hannę z domu Lorene.**

M. J. Byrne mimo dość filigranowych jak na piłkarza warunków uważany jest przez angielskich fachowców, opracowujących rocznik „Football Annual” za jeden z największych talentów wśród angielskich bramkarzy. Anglik jest wychowankiem klubu Chelsea. Pierwszy kontrakt zawodowy podpisał właśnie z Fulham. Szkoda, że akurat jego nowy klub znajduje się, niestety, na równi pochyłej. Przed dwoma laty spadł z I ligi, a obecnie będzie występował już w III lidze. W ostatnim okresie jednak kierownictwo Fulhamu zrobiło ogromny wysiłek, aby wzmocnić swą jedenastkę i liczy na awans.

czyk, Domaniecki, Skalka, Stróżyk, Rempalkowski, Zydorezyk, Nawrot, Sobczak. Dyrektorem sportowym klubu jest **p. Szyk.**

LOISON-sous-LENS. Do czynnych graczy miejscowego „Association Sportive” w sezonie 1969/70 należeć będą **Bernard Jakubowski, Jacky Biegalski, Bernard Godnarski, Leon Stepianiak.**

VERMELLES. Miejscowy klub US Vermelles został wzmocniony nowymi graczami. Są to m. in. bramkarz **Matuzak** z klubu „Jeune France”, środkowy napastnik **Ligocki** z ES Bully i skrzydłowy **Kalinowski** z AG Grenay.

MONTCEAU-BLANZY. Barw klubu „Entente-Montceau-Blanzay” bronić będą w tym sezonie **Kaziński, Trzcionka, Siwiec, Zawada, Sementa, Sularek.**

KOLARSTWO

THIANT. W wyścigu kolarskim na trasie 128 km **Golecki** z US Liancourt przegrał na taśmie. Miejsce trzecie zajął **Mintkiewicz** z CC Thiant.

LILIIERS. **Franciszek Adamski** z Lilliers zajął miejsce trzecie w wyścigu o nagrodę miasta na trasie 95 km.

LE CREUSOT. **R. Jankowski** z Le Creusot był drugi na trasie 120 km w ramach święta sportowego w Saint-Symphorien-de-Lay. Według zestawienia wyników tegorocznych, Jankowski zajmuje pierwsze miejsce w punktacji, mając na swym koncie 395 pkt i o 100 pkt więcej od następnego. **Kotwas** z Le Creusot jest dwudziesty.

PKO

23, rue Taitbout — PARIS IX-ème

Tél. 824-42-02 Métro: Chaussée d'Antin

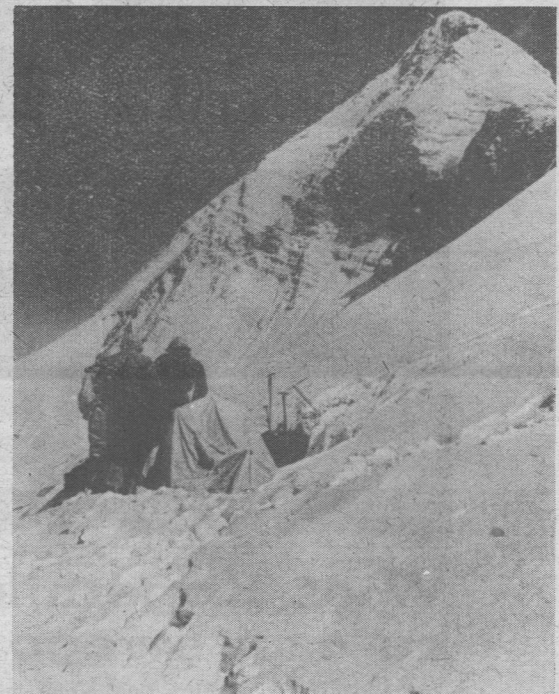
BANK POLSKA KASA OPIEKI S.A.

- **Udziela wszelkich informacji osobiście, telefonicznie i odpowiada na zapytania listowne.**
- **Przyjmuje zlecenia z FRANCJI do POLSKI na towary PKO oraz pieniądze jako pomoc i dary dla rodzin i znajomych w Polsce. Dostawa towarów i gotówki następuje wprost do domu adresata.**
- **Przekazuje wpłaty na koszty podróży dla osób zaproszonych z Polski do Francji.**
- **Przyjmuje wkłady na oprocentowanie oraz załatwia wszelkie inne operacje bankowe**
- **Na żądanie wysyłamy nasze prospekty, cenniki i materiały informacyjne.**

Bardzo niskie koszty, szybka i wykwalifikowana obsługa

BANK PKO S.A.

23, rue Taitbout, PARIS IX-ème



WYNIKI i REKORDY POLAKÓW

● **WE LWOWIE** odbył się „Turniej Nadziei Olimpijskich” ciężarowców. Młodzi ciężarowcy polscy w wadze piórkowej Janusz Zajac i Eugeniusz Grzywiński zajęli dwa czołowe miejsca. W trójboju triumfował Zajac — 295 kg, a ponadto zwyciężył w podrzucie. Grzywiński był w trójboju drugi i zwyciężył w rwaniu. W wadze lekkiej na pierwszym miejscu znalazł się Polak, **Kazimierz Wasyliszyn**. Rezultatem 357,5 kg pobił zarazem swój własny rekord życiowy. Zdobył również złote medale w wyciskaniu i rwaniu. W trójboju w wadze średniej **Zbigniew Ulandowski** zajął drugie miejsce — 380 kg.

● **POLSCY** hokeiści lodowi są już od dłuższego czasu w pełnym „rozruchu”. Na pokrytym dachem lodowisku w Janowie zmierzili się oni z doskonałą drużyną radziecką „Spartak” Moskwa, ulegając 6:12.

● **NA ZAWODACH** kontrolnych młodych dyskoboli przeprowadzonych na AWF w Warszawie bardzo dobry wynik — 7,50 uzyskał **Zbigniew Gryźboń** (lat 20) osiągając minimum, które uprawnia go do startu na mistrzostwach Europy w Atenach. W pchnięciu kulą **Władysław Komar** osiągnął wynik 19,09.

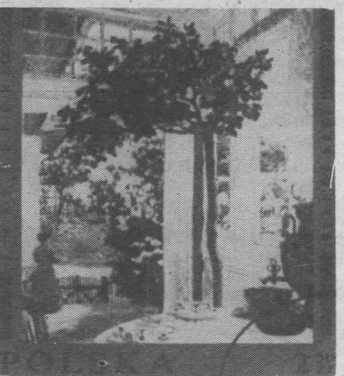
● **NA MISTRZOSTWACH** Europy w Piłźnie w strzelaniu z karabinka małokalibrowego w pozycji leżącej (Kbks-5) Polak **Józef Sadurski** wywalczył trzecie miejsce — 597 pkt. W tej samej konkurencji zespołowej Polacy zdobyli brązowy medal — 2.378 pkt.

● W **EGER** na Węgrzech odbył się międzynarodowy turniej bokserski, w którym Polacy **Caruk** (lekka) i **Osiak** (półśrednia) zajęli pierwsze miejsca, a **Moniewski** zajął drugie miejsce (lekkosrednia). **Kreps** sklasyfikowany został w półciężkiej na trzeciej pozycji.

● **POLSCY ŻUŻLOWCY** pokazali znów swój łwi pazur. W finale europejskim indywidualnych żużlowych mistrzostw świata, przeprowadzonym w Olching (NRF), aż pięciu zawodników zdobyło uprawnienia do udziału w finale światowym. Są to: **Jancarz, Pogorzelski, Wyględa, Gluecklich, i Mucha.** Rezerwowym jest **Podlecki.** **Jancarz** zajął drugie miejsce — 12 pkt, za radzieckim żużlowcem **Klementiewem** — 12 pkt.

● **POLSKA** reprezentacja w hokeju na trawie pokonała w Moskwie reprezentację ZSRR 3:1 (0:1).

● W **LUBLINIE** odbył się lekkoatletyczny mecz junierek, w którym Polki pokonały Bułgarię 75:56 pkt. Polki przeważały w konkurencjach biegowych, w rzutach lepsze były Bułgarki.



KĄCIK FILATELISTY

Malarstwo polskie na znaczkach

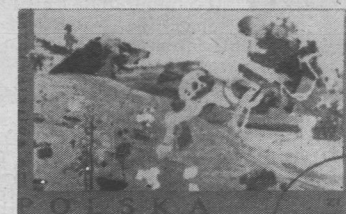
4 września ukazała się druga już z kolei seria znaczków polskich przedstawiająca reprodukcję obrazów malarzy polskich z XIX i XX wieku. Oryginały tych obrazów znajdują się w galeriach muzeów w Warszawie, Krakowie i Bytomiu. Seria składa się z 8 znaczków, na których przedstawiono:

- 20 gr — „Macierzyństwo” Stanisława Wyspiańskiego;
- 40 gr — „Hamlet polski” Janka Malczewskiego;
- 60 gr — „Babie lato” Józefa Chełmońskiego;
- 2 zł — „Portret dwóch dziewcząt” Olgi Boznańskiej, malarki polskiej z Francji, zmarłej w latach ostatniej wojny;
- 2.50 zł — „Majowe słońce” Józefa Mehoffera;
- 3.40 zł — „Kobieta czesząca się” Władysława Sleswińskiego;

5.50 zł — „Martwa natura” Józefa Pankiewicza;

7.00 zł — „Porwanie królowej” Witolda Wojtkiewicza.

Znaczki projektował artysta-plastyk R. Dudzicki. Drukowane są techniką rotograviurową w arkusikach po 4 sztuki z dwoma przywieszkami. Format znaczków:



40,5 × 54 mm (2 zł i 2,50 zł) i 54 × 40,5 mm (pozostałe). (em).

Wieś Koperniki ku czci swego patrona

W powiecie nyskim na Opolszczyźnie znajduje się wieś Koperniki. Stąd właśnie wywodzi się rodzina wielkiego polskiego astronoma, który zatrzymał Słońce, a ruszył Ziemię — Mikołaja Kopernika. W 1973 r. będziemy obchodzić 500-lecie jego urodzin. Szczególnie uroczyscie przygotowuje się do obchodów tej rocznicy ludność Kopernik. Młodzież z koła Zw. Młodzieży Wiejskiej w tej wsi rzuciła hasło wybudowania pomnika genialnego astronoma. Kilka tysięcy złotych na ten cel już zgromadzono, urządzając w swojej i okolicznych wsiach festyny i zabawy. Ponadto wszyscy członkowie ZMW tej gromady pracują w Nyskim Przedsię-

biorstwie Budowlanym po 5 godzin, a zarobioną gotówkę przekażą na konto społecznego komitetu budowy. We wsi powstaje również ośrodek zdrowia i szkoła imienia Mikołaja Kopernika.

Kolekcja dzikich kotów

Łódzki ogród zoologiczny posiada największą w Kraju i jedną z największych w Europie kolekcję dzikich kotów, do których należą: lwy, tygrysy, pantery czarne i cętkowane, jaguary, pumy, gepardy, oceloty, rysie i żbiki. Szczególną atrakcją jest niewątpliwie kot, z wyglądu przypominający zwykłego kota domowego. Kot cętkowany, czyli rybi, zamieszkuje Indie. Żywi się mięsem ryb. Okazy przez niego złapane dochodzą do kilku kilogramów wagi. Hinduscy górale często odstraszają krzykiem kota od złowionego łupu, zabierając następnie porzuconą przez niego rybę. Posiadany przez łódzkie ZOO egzemplarz kota rybiego jest jedyny w Kraju. Również zagraniczne ogrody zoologiczne niesłychanie rzadko mogą się pochwycić tym zwierzęciem.

WYMIENIAMY KORESPONDENCJĘ

Mile Françoise STRUB, 51, rue Cérés, 51 — REIMS (France). „J'ai 20 ans et je désirerais correspondre avec un Polonais”.

DANIEL SERGEANT — 119, rue de la République — 76-Grand-Quevilly (France) — bardzo chciałaby nawiązać korespondencję w języku francuskim z polskim filatelistą i ewentualnie wymienić znaczki pocztowe stemplowane.

STANISŁAW CZERWIŃSKI — Warszawa 26, ul. Kickiego 9, Dom Studenta — jest studentem i chciałby korespondować z młodzieżą polonijną.

GUY HUSSON — 36, Avenue de Lachagelle, 54-BACCARAT (France) — pragnie korespondować w języku francuskim z 15-16-letnią dziewczynką z Polski na tematy młodzieżowe.

JANINA KILARSKA — Jasło, ul. W. Pola 25, woj. rzeszowskie — ma 22 lata i chciałaby korespondować z Rodakami z Francji na temat malarstwa, architektury i literatury współczesnej.

BARBARA MIKOŁAJCZYK — Jasło, ul. Manifestu Lipcowego 3 m. 13, woj. rzeszowskie — chętnie nawiąże korespondencję z młodymi ludźmi z Francji i Belgii. Ma 22 lata i interesuje się architekturą, literaturą, historią

oraz obyczajami różnych narodów i ich kulturą. Z niecierpliwością oczekuje na listy.

ZOFIA KUBASZKO — Jordaków, ul. Świerczewskiego 101, woj. krakowskie — pragnie mieć przyjaciół we Francji i w tym celu chciałaby nawiązać korespondencję. Ma 18 lat, interesuje się sportem i muzyką młodzieżową, zbiera znaczki pocztowe, płyty gramofonowe i zdjęcia aktorów.

JERZY CISZEWSKI — Zawiercie, ul. Armii Czerwonej 46 m. 1 — ma 16 lat i bardzo chciałby korespondować z młodzieżą polonijną na tematy młodzieżowe. Interesuje się biologią, muzyką i filatelistyką.

BARBARA JABLECKA — Łódź 11, ul. Okrzei 33 m. 9 bl. 109 — ma 19 lat i bardzo lubi korespondować. Szczególnie zależy jej na kontakcie z młodzieżą polonijną z Francji i Belgii. Interesuje się chemią, literaturą, wnetrzami mieszkań (różne style, meble), zbiera znaczki, widokówki i czasopisma.

MICHAŁ BENEDIK — Giebułtów, ul. Fabryczna 4, pow. Luban Śląski — chciałby korespondować oraz wymieniać foty zespołów big-beatowych, widokówek kolorowych i znaczków pocztowych.

La semaine des Jeunes



C'était vraiment sensationnel!

BONJOUR. Vous allez bien? Elles se sont bien passées, ces vacances? vous vous êtes bien reposés? J'espère en tout cas que vous êtes tous rentrés superbement bronzés et que — là je ne parle que pour le beau sexe — que vous avez réussi à faire d'importants ravages dans le coeur des garçons. Si oui, tant mieux. Je me tue à vous le répéter: ce n'est qu'en les faisant marcher qu'on peut les rendre raisonnables, ces mal élevés — là.

Pour ce qui me concerne, je me trouve encore en Pologne — en pensée, naturellement. Ecoutez, c'est bien simple: c'était vraiment sensationnel. J'en ai vu des choses! J'en ai eu, des discussions! J'en ai fait, des promenades et des excursions! Je ne me suis pas ennuyée, cela, je vous le jure. Il y avait journellement

tant de choses à voir, à faire, à apprendre, à admirer que je n'ai pas même pas eu le temps d'écrire à toutes mes amies. Bien sûr, dès que suis rentrée, certaines d'entre elles sont venues me faire des reproches. „Alors, c'est ainsi que l'on tient ses promesses?! Eh ben, c'est du propre!”, etc. A leur place, j'en aurais fait autant. Seulement, bien que je sois une fille discrète et spirituelle (il faut bien se jeter quelques fleurs de temps à autre, n'est-ce pas?), je ne voyais vraiment pas ce qu'il fallait leur dire pour me faire pardonner. Cela arrive, et pas seulement à moi. Puis, brusquement, une idée quasi géniale (vous allez voir!), me traversa l'esprit. Je me souvins du film „La Cuisine au beurre”. Vous l'avez vu? C'est un film avec Fernandel et Bourvil, désopilant, évideemment. Fernandel y joue le rôle d'un prisonnier de guerre qui ne rentre chez lui que bien des années après la Libération. Persuadés qu'il est décédé, ses amis ont déjà fait graver son nom sur le monument aux morts. Quant à sa femme, elle s'est remariée. Et puis voilà que Fernandel revient. Pécaire!

Sa femme — qui est maintenant également l'épouse de Bourvil — ne laisse pas de se lamenter sur son sort. „Pourquoi — demande-t-elle à son revenant de premier mari — pourquoi, puisque tu n'étais pas mort, n'as-tu pas donné signe de vie?!” Fernandel est très embarrassé. Il n'a pas donné signe de vie parce qu'il se faisait cajoler par une beauté germanique à la poitrine opulente, mais cela, il ne peut évidemment pas le dire. Il doit recourir à un mensonge. „L'encre dit-il. — Tu comprends, l'encre!”. Naturellement, la pauvre femme ne voit pas du tout de quoi il s'agit: „Quoi, l'encre?!” Alors Fernandel, d'un air tout à la fois tragique et indiciblement mystérieux: „Eh bien, l'encre! Tu comprends, là où je me trouvais, il faisait tellement froid qu'elle gelait!”. N'est-ce pas que c'est génial? J'ai donc sorti cette histoire à mes amies, et, bien sûr, mes péchés me furent immédiatement remis. Si vous avez vous aussi des amis qui s'appêtent à venir vous dire combien ils apprécient le fait que vous ne leur avez même pas envoyé une carte postale, vous n'avez qu'à faire com-

me moi. Je vous garantis qu'ils ne seront pas longs à vous absoudre.

Revenons à la Pologne. Lorsque je suis arrivée à Varsovie, on m'a dit que c'est bien dommage que je ne sois pas venue au mois de juillet. Il paraît que cette année la fête nationale polonaise — le vingt-deux Juillet — a été célébré dans la capitale avec un éclat tout à fait extraordinaire. Je regrette, bien sûr, de n'avoir pas assisté aux cérémonies du vingt-cinquième anniversaire de la nouvelle Pologne. C'était certainement tout ensemble très impressionnant et très émouvant. J'ai également appris qu'y ont assisté de nombreux Polonais de l'étranger, et notamment de France. Mais moi aussi j'ai vu de belles choses. Tenez, ce récital de piano en plein air, dans le parc de Łazienki — le plus beau et le plus vaste parc de Varsovie — près du monument élevé par le sculpteur Wacław Szymanowski (j'aime à me renseigner), à la gloire de Frédéric Chopin, — ce récital par exemple, comme c'était grandiose, comme c'était enivrant! Naturellement, la pianiste jouait du Chopin. Elle exécuta entres autres avec virtuosité la majestueuse Polonaise Héroïque (lalala, lalala — lalala — vous voyez ce que je veux dire, n'est-ce pas?). Tout le monde écoutait avec recueillement. Même les tout petits enfants. On aurait dit qu'ils comprenaient cette musique. Moi, j'étais toute remuée. Je puis dire que ce jour-là, j'ai vraiment senti le sang polonais couler dans mes veines.

Ou bien l'inoubliable pro-

menade sur les fameux „Planty” à Cracovie! Vraiment, la Pologne est belle, vous savez! Les Planty, ce sont de larges boulevards bordés d'arbres; ils font trois kilomètres et aboutissent au Wawel, ce château qui est pour tout Polonais un véritable symbole et un lieu de pèlerinage national. On les a aménagés sur l'emplacement d'anciennes fortifications. C'est en même temps très gai et très romantique, surtout si vous êtes accompagné de quelqu'un qui ne vous est pas indifférent. Moi, j'avais pour guide mon copain de Varsovie. Chemin faisant, il me racontait les vieilles légendes cracoviennes. Arrivés au Wawel, nous sommes tombés sur un vrai professeur de l'Université que mon ami connaissait. Comme je n'avais encore jamais vu de près (ni de loin non plus d'ailleurs), un homme aussi épouvantablement savant, j'ai failli m'évanouir d'émotion. Mais le professeur se montra très aimable, il visita le Wawel avec nous et poussa même la délicatesse jusqu'à nous payer un pot.

J'ai aussi visité Oświęcim, c'est-à-dire Auschwitz, mais c'est un sujet à part, je vous en parlerai dans mon prochain papier. Aujourd'hui, je voulais seulement vous dire combien je suis heureuse d'avoir pu voir de nouveau la Pologne, ce cher et beau pays.

Et vous, êtes-vous satisfaits de votre séjour là-bas? Faites-moi donc part de vos impressions!

Je vous fais une grosse bise.

MARTINE

Tylko dla dziewcząt i kobiet Tylko dla dziewcząt i kobiet Tylko dla dziewcząt i kobiet

RADY

od serca

DROGA PANI ANNO!

Już wiele razy pisano do Pani na ten temat, wiem, że nie znajdzie pani cudownego lekarstwa, niemniej potrzeba mi serdecznego słowa od przyjaciela. Moja sprawa dotyczy małżeństwa, zawartego w bardzo młodym wieku, w czasach wojny. Zawarłem je lekkomyślnie, bo czułem się wtedy samotny i nieszczęśliwy. Upięknęło od tego czasu 26 lat. Dwoje dorosłych dzieci wyszło za mąż, wyjechały stąd moje córki i nic już nie łączy mnie z tą kobietą. Wszystko łączy mnie z inną, poznaną dziesięć lat temu. Nie możemy być razem; dotychczas na przeszkodzie stały dzieci i moja obawa przed burzeniem pozorów domowego szczęścia. Teraz znów, gdy dorosłym córkom dom nie jest potrzebny, ja jestem potrzebny tej kobiecie, która jest formalnie moją żoną. To osoba niezaradna, bez zawodu, chorowita, umie tylko gotować i sprzątać. Czy mam prawo ją zostawić? Ale czy mam prawo krzywdzić tamtą drugą, która także poświęciła dla mnie młodość, najlepsze lata, skazując się na wieczną poniewierkę, na sytuację, która każdą kobietę musi krępować. Moja żona wie o tej drugiej. Nawet mi kiedyś powiedziała — „może się ze mną rozejdziesz”, tylko tak strasznie zaczęła od razu płakać, że musiałam odpowiedzieć, że nigdy jej nie opuszczę. Ta, którą kocham, nie stawia żadnych wymagań, niczego dla siebie nie żąda, nawet nie chce ode mnie brać pieniędzy. Jest skromna, cicha, dobra. Sama nalega, bym nie opuszczał żony, która beze mnie nie jest zdolna do życia. Pani Anno, czy pani rozumie, jaki koszmarny przeżywam? Co mam robić? Jak żyć?

„BIGAMISTA”

SZANOWNY PANIE!

Jak pan słusznie napisał, nie mam lekarstwa na takie kłopoty. Są to jedne z najtrudniejszych problemów do rozwiązania. Bo w grę wchodzi krzywda dwóch kobiet i naprawdę nie ma mądrego, który osądziłby, gdzie krzywda jest większa. Żona Pana jest dobrą kobietą, wychowała dwoje dzieci, dbała o dom i Pana. Czyż można ją teraz na stare lata zostawić? Sam Pan dochodzi do wniosku, że jest to niemożliwe. Przyjaciółka nigdy nie namawiała Pana, aby zerwać to małżeństwo. I dzisiaj nie ma o to do Pana pretensji. Cóż pozostaje? Chyba utrzymać na razie sytuację taką, jaka jest od dziesięciu lat. Rozwiązanie trudnej sytuacji należy pozostawić czasowi. Nie ma bowiem wiecznej miłości. A przywiązanie i szacunek jest po latach chyba czymś bardziej trwałym. I to może przesądzić o utrzymaniu się Pańskiego małżeństwa. Może po kilku latach i pan, i pana

przyjaciółka będziecie tylko wspominać Waszą dawną miłość?

Jeszcze raz podkreślam, że nie ma rozwiązania idealnego w takich sprawach i trzeba zawsze starać się znaleźć najmniejsze zło z możliwych.

ANNA

KOCHANA PANI ANNO!

Mam dwóch synów i męża, z którym się rozeszłam przed czterema lat. Chłopcy mają 15 i 17 lat. Są ze mną. Nie mogę na nich narzekać, uczą się dobrze i w ogóle nie sprawiają mi kłopotów. Tylko jedna sprawa mnie martwi. Starszy syn bardzo kocha ojca, w tym jeszcze nie byłoby nic złego. Ale on stale wypomina mi, że od ojca odeszłam, że ojca skrzywdziłam i stale robi mi przykrości. Z ojcem spotyka się bardzo często. Bywa u niego, razem jeżdżą na wakacje, na wycieczki, mają mnóstwo wspólnych spraw, o których ja nawet nie wiem. Dla porządku powiem pani, że to mąż mnie skrzywdził, nie ja jego, że on mnie zdradzał i dlatego postanowiłam odejść. Nie umiem rozmawiać z synem, czuję stale jego wzrok pełen wyrzutów, jego lekceważący stosunek do mnie. Co zrobić, by to się zmieniło?

MATKA

SZANOWNNA PANI!

Myślę, że nic nie robić, to minie samo. Mogłaby pani tylko kiedyś, gdy nadarzy się okazja, porozmawiać z synem i opowiedzieć mu, jak to wyglądało w pani małżeństwie. Dlaczego pani odeszła. Nie powinna pani jednak zbyt ostro ocierać przed synem ojca, bo wtedy skutek będzie akurat odwrotny: jeszcze bardziej zniechęci się do pani i będzie myślał, że świadomie chce pani popsuć jego stosunek do ojca. Obawiam się, czy już wcześniej czegoś takiego pani nie uczyniła. Stosunki między byłymi małżonkami, zwłaszcza gdy są wspólne dzieci, powinny się układać w sposób bardzo specjalny. To znaczy — taktowny. Nie powinno się nawzajem o sobie nigdy przed nikim, a szczególnie przed dziećmi mówić nic złego. To, co było — minęło, a dzieci mają prawo kochać ojca, nawet wtedy, gdy skrzywdził ich matkę.

ANNA

Michalinka ma głos

Muzykalna Andzia

Uśmiełam się wczoraj serdecznie z tego, co mi opowiedziała Andzia. A ponieważ tak mnie jej historia ubawiła, postaram się ją wam powtórzyć.

— Wyobraź sobie, moja kochana — zaczęła swoje opowiadanie Andzia — że moi znajomi przysłali mi bilet na koncert. Ja na koncerty nigdy nie chodzę, bo na poważnej muzyce się nie znam i wolę Aznavoura od Beethovena. Ale jak się ma darmowy bilet, to grzech nie skorzystać. Poza tym kupiłam sobie w przedzień nową sukienkę z muslinu. Nie pokazać się ludziom w nowej sukience — to też grzech. Poszłam więc na ten koncert.

Ludzi była kupa. Same eleganckie panie, było na co patrzeć i cieszyłam się, że przyszłam. Potem dyrygent podniósł pałeczkę, skrzypek podniósł smyczek, ja podniosłam fałdy sukienki, aby się nie zmiała, usiadłam i słuchałam. Grali, grali jakieś pięć minut, potem przerwali. Ja od razu zaczęłam mocno klaskać, aby pokazać, że bardzo mi się podobało. Wówczas wszyscy dokoła syknęli — pss, pss, i popatrzyli na mnie z taką zjadliwością, jakbym im nadepełniała na nagniotki. Okazało się bowiem, że to nie był koniec. A skąd ja mogłam o tym wiedzieć? Teraz już za nic w świecie nie będę klaskać, żeby mi się nawet kłaniali z estrady bez końca.

Na razie jednak nikt mi się jeszcze nie kłaniał, tylko dyrygent nadal pałeczką wywijał, skrzypek smyczkiem machał, a cała orkiestra ich imitowała. Mnie po jakimś czasie zaczęło to trochę nudzić. Zaczęłam latać oczami po widowni. W czwartym rzędzie siedziała jakaś paniusia, która była podobna do mojej sąsiadki Pupcińskiej. Ta Pupcińska to stara wydra. Naplotkowała raz

na mnie do mojej konsjerżki. Z taką babą lepiej nie mieć do czynienia. A znowu ta młoda paniuszka przede mną nosi perukę. Taką samą chciałam sobie kupić niedawno, bo zamiast chodzić do fryzjera, to zawsze wygodniej...

Mocne uderzenie w bęben przerwało ten tok moich myśli. Przypomniałam sobie o koncercie. Znowu patrzę uważnie, jak skrzypek miga swoim smyczkiem tam i z powrotem, coraz szybciej. Ile on może zarabiać za taką pracę? Chyba nie ma, jeśli się policzy, ile ludzi jest na sali, a każdy oprócz mnie zapłacił co najmniej 10 franków za bilet. To kupa pieniędzy. Ale on się musi tym chyba podzielić z dyrygentem, bo tamten też za darmo nie patyczkuje cały czas. I inni muzycanci tak samo. Muszą się potem użerać, ile się każdemu z nich należy...

Nagle muzyka się urwała i wszyscy zaczęli mocno klaskać, tylko ja nie. Przedtem chciałam, a teraz nie będę. Jakiś pan obok nachylił się do mnie i zapytał:

— Pani zdaje się nie podobało się wykonanie?

Zrobiłam taką minę, że na dwoje babka wróżyła. Niby tak, niby nie. A on od razu przyznał mi rację.

— Jestem tego samego zdania. A jaką muzykę najbardziej pani lubi?

— Ja? Gdyby mi tak rąbnęli z estrady jakąś skoczną poleczkę!...

Nie wiem dlaczego, ale on na to od razu się ode mnie odwrócił. Może moja sukienka mu się nie podobała? Będę chyba musiała ją trochę podłużyć. Ale gdzie ja mam na to czas, jeśli mi się zachciało chodzić na koncerty?...

MICHALINKA

NOWE KOLEKCJE, NOWY STYL



A więc projektanci mody na całym świecie pokazali wreszcie niecierpliwie oczekującym kobietom, jak mają zamiar ubrać nas na najbliższy sezon jesienno-zimowy. Także i „Moda Polska”, wiodące przedsiębiorstwo warszawskie, które dyktuje styl licznym fabrykom odzieżowym w całej Polsce, pokazało w połowie sierpnia swą bardzo udaną, choć oryginalną kolekcję. Sukcesywnie będziemy prezentowali naszym Czytelnikom co ciekawsze modele wybrane z kilkudziesięciu kreacji, jakie było nam dane oglądać na pokazie „haute couture”.

Ogólnie możemy stwierdzić, że na bieżący sezon polscy projektanci proponują modę bardzo elegancką, nawet wytworną. Zginęły gdzieś podlotki, w bardzo króciutkich sukienkach i płaszczkach, a miejsce ich zajęły dorosłe, lecz nie dojrzałe kobiety, trochę w stylu przypominające... wychowawczynie z angielskich pensji dla dorastających panienek. A więc najbardziej awangardowa długość to 20 cm nad... kostką! Do tego, wyobraźcie sobie panie, sztywne białe mankiety i wysokie, podpięte pod szyję kohnierzyki! No i kolory! Szare, bure, ciemnobrązowe. Jedynymi żywymi, lansowanymi w tym sezonie są ceglaste czerwienie i wszelkie odmiany koloru fioletowego. Na szczęście projektanci dopuszczają długość „tradycyjną”, mini oraz umiarkowaną, do kolan. Sądźmy więc, że nie ulegniecie, drogie Czytelniczki, zbiorowemu szaleństwu, i każda z Was zaadaptuje wskazówki aktualnej mody do indywidualnej sylwetki! Dziś prezentujemy dwie sukienki w kontrowersyjnym stylu i długości. Wybierajcie według własnego gustu, bo mimo wszystko obie są bardzo ładne i efektowne.

KRYSTYNA

RADIOODBIORNIKI

TELEWIZORY

♦ Lodówki, maszyny do prania

i inne artykuły gospodarstwa domowego

LENG — PICARD ET C^{ie}

16, Place de la Liberté, 423, rue de Lannoy

Telefony: 73.39.43, 73.29.47 ROUBAIX (Nord)

LISTY Józefa Grzybka

CZEŚĆ WAM KOBIETKI!

PANIE REDAKTORZE!

Ziemię naszego Nordu łagodnie grzeje słońce, wrzesniowe słońce, w powietrzu unosi się babie lato. Podobnie jak wszyscy cieszący się jeszcze jakimś zdrowiem emigranci, korzystam z ostatnich dni lata, przesiaduję w ogródku i niczym jakaś sentymentalna damulecia albo jakiś pisarek zawzięcie kontempluję kwitnące przy mojej ogrodowej „ryczce” kwiaty: czerwone georginie, żółte nagietki, czerwone, żółte i lilowe astry. Moja, która — jak to kobieta — nie może ścierpieć, że tak sobie siedzę „jak za dobrych czasów”, wysmiewa się ze mnie i powiada, że wpatruję się w te kwiaty akurat tak, jak wół w malowane wrota. „Cicho, kobieto — ja na to. — Skoro nie rozumiesz niemiejskiej mowy kwiatów, to dałabyś przynajmniej innym jej posłuchać”. Wtedy ona wpada w irytację. Jak każda kobieta, nie lubi być posądzana o to, że czegoś nie rozumie. „A ty może ją rozumiesz? — woła — Takie stare i tyse dziadziśko jak ty naraz zaczęło rozumieć mowę kwiatów?”. Szczerze mówiąc, tyle z tej mowy rozumiem co i każdy, ale stroję głupie miny i bezczelnie udaję, że ja jednak wiem coś więcej. Ktoś musi być w domu mądrzejszy, no nie?

Tak sobie z tego mojego kobieciska dworuję, ale jakby tak przyszło co do czego, to tak jak Wy za Waszą tak i ja bym za moją w ogień skoczył. Takie kobiety jak nasze żony, jak żony starych polskich emigrantów, trudno byłoby dzisiaj ze świecą znaleźć. Tym razem to nie żarty, mówię jak najbardziej poważnie. Przecież te nasze kobiety tak się w swoim życiu naharowały, że na dobrą sprawę one też powinny otrzymać jakąś rentę. One nie miały elektrycznych pralek ani elektrycznych wyżymaczek, ani odkurzaczy, ani żadnych innych cudów. Praty kobiety w wanienkach i „keslach” na tarce, i tyle. A w czasie wojny potrafiły przemierzać na kole dziesiątki nieraz kilometrów, pedałowały,

jeździły za masłem i mąką na równi z chłopami. A wieczorami — a nieraz bywało, i nocami — szyły krakowskie i inne stroje dla naszych towarzyszy. W robocie w polu (Pan może o tym nie wie, Panie Redaktorze: u nas dawniej każdy prawie emigrant dzierżawił kawalek pola) — powiadam więc, że w robocie w polu i w ogródku też nam nasze kobiety dzielnie pomagały, i tak zwanym „gadem” (jak to się u nas mówi), czyli królikami, kurkami, kaczkami, itd. też się potrafiły zająć, i jeszcze umiały znaleźć czas na przypilnowanie dzieci, żeby znały także język polski... Co, może nieprawda? Ja Wam powiadam, że takich robotnych kobiet, takich dobrych gospodyń, takich znakomych kucharek jak nasze żony daleko by dzisiaj szukać. Dzisiejsze młode żonki to tylko mają w głowie manicure, pedicure, week-endy, itd. Co się dotyczy robotności, to one naszym zonom do pięt nie dorastają. Pozwólcie, że na zakończenie tych uwag wzniosę okrzyk: Cześć Wam, kobiety!

„Co to też się stało — pomyślą sobie być może Czytelniczki — że wreszcie tego starego grzesznika, który tak sobie na nas używa, sumienie ruszyło?! Węgłem w kominie trzeba to zapisać!” Nie myślcie o mnie tak brzydko, kobiety kochane, bardzo Was o to proszę. Ze tam czasem sobie trochę z Was pokpię, to przecie czynię to li tylko dla żartu, a tak naprawdę to ja Was podziwiam. Jeśli zaś idzie o to, dlaczego o tym moim dla Was podziwim postanowiłem napisać akurat w dzisiejszym „Liście”, to wiedźcie, że stało się to za sprawą rocznicy naszego, tj. żony i mojego ślubu. Rocznicę tę obchodziliśmy niedawno temu. Choć nie była to rocznica okrągła, to jednak urządziliśmy małe przyjęcie. Przyszli teściowie, córki, zięciowie, spałaszowaliśmy dwa króliki, trochę się wypilo, trochę się pośpiewało, szwagierka zjadła za dużo majonezu i była chora — wiecie, jak to jest. Ale mniejsza z przyjęciem, tu chodzi o to, co było po przyjęciu. Otóż po przyjęciu, kiedy zostaliśmy z żoną sami, przyszła mi nagle

chęć obejrzenia naszych ślubnych zdjęć. I to właśnie nad tymi zdjęciami zacząłem myśleć o tym, ile się to moje kobiecisko w życiu napracowało, i o tym, ileście się Wy wszystkie, kobiety, napracowały. Za czym powie-działem sobie w duchu tak: „Trzeba kobietom złożyć hołd. I nie ma z tym co czekać do Święta Kobiet, które zresztą we Francji nie jest obchodzone, ani do Święta Matek, bo jeszcze o tym zapomnę.” Stąd, widzicie, niewiastki, ten „List” na Waszą cześć.

Kiedym tak oglądał te nasze ślubne zdjęcia, stanęli mi również w pamięci nasi dłuźbówie i dłuźny (Mój Boże, z dłuźbów nie żyje już żaden, ani wierzysz się człowiekowi nie chce! Jak to jednak te lata leca, jaka to zaczyna wokół człowieka powstawać pustka!). I jałem sobie także przypominać kolejne etapy naszego dorobania się. Dorabialiśmy się tak jak wszyscy emigranci. Na początku teściowie podarowali nam swoją westfalską „szafunierkę”, potem ja własnym przemysłem skleciłem parę „policzek” („policzka” to po naszymu półka), „ryczkę”, coś tam jeszcze. Następnie — ale to do-

piero po paru latach, bo nie chcieliśmy niczego kupować na kredę — nabyliśmy radio i jadalnię. Radio było jak na owe czasy wspaniałe, i jadalnia też. Służą nam po dziś dzień, i kiedy pomyślę o tym, że z chwilą gdy my z żoną zamknijemy oczy, to dzieci porąbią to wszystko, rozwalą i wyrzucą, to aż mi się coś robi. Skąd ja wiem, że dzieci tak zrobią? Wiem i już. One by już dzisiaj tak zrobiły, gdyby mogły. Czasem bywa, córki mówią do mnie: „Dlaczego tata jeszcze tego szafczyska (albo: tych krzesel, tego starego radia, itd.), nie wyrzuci? Przecież to już jest taki stary kłopot, teraz ludzie mają inne, nowoczesne meble!”. Na to ja odpowiadam: „Ani mi się śni. Wara. Nie wasza rzecz. Innych mebli nie potrzebuje, bo święty Piotr z bagażem i tak mnie nie wypuści. A zresztą z tymi starymi jest mi całkiem dobrze”.

Kiwacie pewnie potakująco głowami. Nurtują nas te same myśli, prawda? Ano, tak to już, widzicie, na tym świecie jest. Młodzi nas rozumieją dopiero wtedy, kiedy już sami będą babusiami i dziadusiami.

Bywajcie zdrowi, Drodzy moi.

Józef Grzybek
z Nordu



W czasie swej 16-letniej działalności „Olza” dała ponad 330 występów

Nasze zespoły

W „OLZIE” ZNAD OLZY

Olza to rzeka wpadająca do Odry, która na znacznej przestrzeni swego biegu od Beskidu Śląskiego stanowi granicę polsko-czechosłowacką. Dzieli ona m. in. stary gród Cieszyn na Cieszyn polski i Cieszyn czeski. Od niej wziął nazwę Polski Zespół Pieśni i Tańca z czeskiego Cieszyna. „Olza” w większości składa się z synów i córek polskich górników i hutników pracujących w okręgu ostrawsko-karwińskim a także rolników z Beskidu Śląskiego oraz rzemieślników.

W czasie swej 16-letniej działalności „Olza” dała ponad 330 występów, przy czym największe sukcesy odniosła na uroczystościach śląskich „Gwar-

ków” (dawnych górników) w Tarnowskich Górach. Było to w 1956 r. na Warmii i Mazurach oraz w Raciborzku, gdzie dała się poznać z wysokich wartości folklorystycznych i wykonawczych.

Zespół liczy 36 osób, przeciętna wieku — 19 lat. „Olza” niewątpliwie należy do najambitniejszych zespołów polonijnych w krajach europejskich. Świadczy o tym m. in. jej repertuar, złożony nie tylko z polskich tańców regionalnych, ale i tańca towarzyskiego w klasycznej i współczesnej formie, co przyciąga nie tylko starsze pokolenie emigracji polskiej, ale i najmłodsze. Szczególnie nowatorskie for-

my to łączenie tańca z poezją i prozą — najczystsza forma języka ojczymego.

Występy tego typu prezentowane przez „Olzę” cieszą się ogromnym powodzeniem, choć — jak informuje jej kierownik i choreograf p. Janina Ferfecka — początkowo przyjmowane były z rezerwą, zwłaszcza przez starszych polonusów. „Teraz jednak nie wyobrażają sobie jakiegokolwiek naszego występu bez wierszy i pięknie odczytanych fragmentów utworów literackich. My zaś — powiedziała pani Janina — staramy się jak najatrakcyjniej przekazywać polską kulturę nie tylko w utartych i standardowych formach, zwłaszcza że pragniemy zdobyć i zdobywamy zainteresowanie środowisk inteligentnych, studenckich, do których sama pieśń i taniec nie przemawiają dostatecznie silnie. Mieliśmy na terenie Czechosłowacji szereg występów, m. in. podczas tzw. „Niedzieli polskich” w Pradze i w Ostrawie, gdzie zyskaliśmy wielu zwolenników”.

„Olza” występowała też na II i III Ogólnopolskich Czechosłowackich

Spartakiadach w Pradze, na licznych krajowych festiwalach folklorystycznych dla zespołów amatorskich. W 1955 r. zdobyła I miejsce w eliminacjach Konkursu Twórczości Młodzieży CSRS — imprezie nie praktykowanej w innych ośrodkach polonijnych, a mającej na celu wprowadzenie właśnie nowych, ciekawych form artystycznej pracy. Uzyskała też pierwsze miejsce na takim konkursie w Bratysławie wśród silnej czeskiej i słowackiej konkurencji oraz otrzymała wiele laurów w festiwalach zespołów tanecznych związków zawodowych. Wśród nagród i pucharów zespół posiada srebrną odznakę Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego, skupiającego tysiące członków w kołach terenowych, a także 70 zespołów teatralnych i śpiewaczych.

W dorobku „Olzy” znajduje się m. in. 9 widowisk artystycznych, jak „Sobótki”, „Ondraszkowe ostatki”, „Na jarmarku”, „Szkubaczki śląskie”, „Krakowskie wesele” i „Karnawał” oraz dwa programy składane, oparte na polskich, czeskich i słowackich tańcach ludowych.

§§ Mecenas radzi

Pan F. M. — NANCY (Meurthe-et-Moselle)

Jaki jest skutek ostatniej amnestii w stosunku do wymiaru kar więzienia?

Amnestia została ogłoszona w Journal Officiel z dnia 29 czerwca 1969. Dotyczy ona przestępstw popełnionych przed dniem 20 czerwca 1969 r.

Podlegają amnestii: wykroczenia policyjne (contraventions) oraz wszelkie przestępstwa karane tylko grzywną. Są również objęte amnestią przestępstwa popełnione na skutek manifestacji publicznych, zebrań wyborczych, działań subwersyjnych, dezercja itp.

Wreszcie podlegają amnestii kary aresztu do 3 miesięcy bez zawieszenia lub z zawieszeniem, jak również kary więzienia do 1 roku z zawieszeniem.

Rozdział II ustawy przewiduje amnestie indywidualne na mocy dekretu Prezydenta Republiki. Mogą się o nie ubiegać a) małoletni w chwili popełnienia przestępstwa b) ofiary wojen 1914—1918 i 1939—1945, zasłużeni b. kombataneci, c) b. deportowani z ruchu oporu lub polityczni, d) osoby o wyjątkowych zasługach z dziedziny kulturalnej lub naukowej.

HOTEL OPERA - LAFAYETTE

CATEGORIE **A

RESTAURANT

Dyrekcja: Zenon LUBINSKI

80, rue Lafayette-PARIS 9-ème

Métro: CADET lub POISSONNIERE

Téléfon: 770-43-43 824-41-50

(Face Square MONTHOLON)

Mówi się po francusku oraz po polsku, angielsku, niemiecku, hiszpańsku, rosyjsku i włosku

W rocznicę Września w Paryżu

KONFERENCJA PRASOWA W AMBASADZIE PRL

W 30 rocznicę wybuchu wojny odbyła się w Ambasadzie PRL w Paryżu konferencja prasowa. Attaché wojskowy Ambasady pułkownik CZESŁAW LECH wygłosił obszerny exposé, w którym przedstawił przebieg kampanii wrześniowej 1939 r. w Polsce, a następnie mówił o udziale żołnierza polskiego w walkach na wszystkich frontach świata. Przemówienie płk Lecha poprzędzone było projekcją krótkometrażowego filmu nakręconego w Warszawie w ostatnich dniach sierpnia i w początkach września 1939 r. przez obywatela amerykańskiego, który wówczas przebywał w Polsce, p. Julien Bryan.

W chwili gdy Niemcy atakowali Polskę, mobilizacja polskiej armii nie była jeszcze ukończona. Pod bronią znajdowało się wprawdzie milion dwieście tysięcy ludzi, ale po przeprowadzeniu pełnej mobilizacji Polska miałaby armię znacznie liczniejszą. Drugą przyczyną słabości obrony Kraju, którą wskazał płk. Lech, był brak broni i sprzętu, zwłaszcza czołgów i samolotów. Niemcy uderzyli armią liczącą 1.800 tysięcy ludzi, 2.800 czoł-

gów, 2.000 samolotów. Przewaga więc była druzgocąca.

A jednak Polska broniła się z bohaterstwem nadludzkim. Mimo że Niemcy zapanowali całkowicie w powietrzu, mimo że bombardowali nieustannie miasta polskie nie oszczędzając ludności cywilnej, mimo bardzo długiego frontu i gwałtownego parcia Niemców ze wszystkich stron, opór Polaków trwał długo. Mówca zwrócił szczególną uwagę na bezprzykładną postawę obrońców Westerplatte, Helu, Okcywia, Warszawy, Modlina. Jeszcze w początkach października grupa operacyjna wojsk gen. Kleeberga walczyła z najeżdżącą na Lubelszczyznę pod Kockiem. W sumie kampania w Polsce trwała pięć tygodni.

Po zakończeniu jej walka trwała dalej. Płk. Lech podkreślił fakt, że okupacja Polski, najdłuższa z okupacji wszystkich krajów ujarzmionych przez najeżdżące, trwała 2.078 dni. Były to dni zaciętego, nieustępliwego oporu, akcji bojowych i sabotaży.

Drugą część swego exposé poświęcił pułkownik historii Armii Polskiej we

Francji, walkom w Norwegii, Francji, Anglii, w Afryce północnej, we Włoszech, w ZSRR, udziałowi wojsk polskich w inwazji na Francję i w wyzwalaniu terytorium Kraju.

Po podsumowaniu strat, jakie poniosła Polska podczas II wojny światowej, mówca zwrócił uwagę zebranych dziennikarzy na podstawową tendencję polityki rządu polskiego, który za cel stawia sobie zabezpieczenie Kraju, aby już nigdy nie powtórzył się wrzesień 1939 r. Plan Rapackiego, Plan Gomułki, propozycja dezatomizacji środkowej Europy, wreszcie ostatnia inicjatywa Władysława Gomułki, aby podpisać wraz z Niemcami Zachodnimi akt o nienaruszalności granicy na Odrze i Nysie stanowią wyraz tej polityki.

Po zakończeniu przemówienia płk. Lecha odbył się cocktail, w czasie którego dziennikarze mogli zasięgać u polskiego attaché militaire dodatkowych informacji i wyjaśnień.

Na konferencji obecny był ambasador PRL w Paryżu p. Tadeusz Olechowski.

GDY ZMIENIAMY
ADRES

Do „Tygodnika” napływają bardzo liczne listy z zawiadomieniem o zmianie adresu naszych Czytelników. Niestety, podając nam swój nowy adres bardzo często Czytelnicy zapominają o podaniu starego. Powoduje to poważne trudności dla naszej administracji i konieczność szukania karty abonenta wśród tysięcy innych, we wszystkich departamentach.

Dlatego więc prosimy uprzejmie wszystkich przeprowadzających się, aby komunikując nam zmianę miejsca zamieszkania podawali łaskawie obydwa adresy — stary i nowy. Ułatwi to nam bardzo naszą pracę.

Z góry dziękujemy.

KONKURS
NA DOMKI I OGRODY
W KWIATACH

COURRIÈRES. W ramach tegorocznego konkursu na najpiękniejszy ogródek, widoczny od strony ulicy, nagrody otrzymali: pp. Reynald Dworzaczek (nagroda 2), Marian Musiał (5), Jean-Claude Madzoń (7), Franciszek Kowalkowski (14), Jan Maryniak (24), Szymon Przybylski (32). W kategorii mieszkań HLM p. Nicole Mrówka zdobyła ósmą nagrodę.

MONTCHANIN. W konkursie na najpiękniej ozdobiony kwiatami domek nagrody otrzymali ostatnio pp.: Władysław Tadzik (6 nagroda) i Franciszek Błaszcyk (23). Obydwaj odznaczają reprezentować będą swe miasto w konkursie ogólnofrancuskim.

PRZYJĘCIA DO SZKÓŁ
ZAWODOWYCH

W nadchodzącym roku szkolnym zostali przyjęci do średnich szkół technicznych CET w LIÉVIN: Christian Manuszak, Henryk Durański, Patrice Wogusiak, Leon Durczewski, Patrick Bluszez; w ARRAS: Henryk Siemiątkowski, Jean-Pierre Szczepaniak, Fabrice Tkacz, Andrzej Januszko, Franciszek Faliński, Bruno Nowyjasz, Daniel Hulakowski, Bernard Danielczyk, Daniel Swiniecki, Antoni Wojtyra, Jan Urbański, Daniel Szpoper, François Sztupiec.

BULIŚCI

SANVIGNES-les-MINES. Do organizowanego ostatnio konkursu przez stow. „La Boule des Baudras-Essarts” zostały dopuszczone 32 pary, reprezentujące całe zagłębie węglowe Blanzj. Przez pierwsze eliminacje przeszli p.

Kaziński wygrywając z p. Pavano 11:3, p. Woźniak z p. Antonim Błaszcykiem 11:7. Odpadł p. Ratajski. W eliminacji drugiej wygrał tylko p. Woźniak, po ciężkiej i wyrównanej walce z Boltot 13:10. W spotkaniu finałowym p. Woźniak zajął ostatecznie miejsce czwarte.

ST. VALLIER. W półfinale konkursu „Petanque-Club des Gueules Noires” p. Skorzpiński pokonał p. Bartnickiego, a p. Hanuszek p. Wallomego (senior). Finał wygrała para p. Hanuszek i p. Cholewa pokonując przeciwników w stosunku 15:7. W konkursie uzupełniającym p. Czarnecki wygrał z p. Janickim (junior), a p. Konop z p. Bichet, p. Wallomy (junior) z p. Mille. Odpadł p. Gembolys. W półfinale wygrał p. Knop eliminując p. Czarneckiego i p. Wallomy, p. Griveau. Finał wygrała para Charlot-Konop przed parą Władek-Wallomy.

SPORT WĘDKARSKI

MONTCEAU - les - MINES. Stowarzyszenie miłośników wędkarstwa „La Gaule Montcelienne” urządziło ostatnio konkurs nad jeziorem Plessis, do którego stanęło przeszło 40 zawodników. Najwięcej szczęścia miał p. Klemenczak, który zdobył 1385 pkt (łowiąc 71 ryb). Następny po nim p. Beugras złowić tylko 60 sztuk i miał 1185 pkt. Miejsce ósme zajął p. Brzozowski, a szesnaste p. Kochanek.

MONTCEAU - les - MINES — LE CREUSOT. Ostatnio zostały tu przeprowadzone eliminacje wędkarskie do mistrzostw federalnych i narodowych. Do pierwszej stanęło 110 miłośników wędkarstwa, a do drugiej 60.

Wyniki konkursu federalnego: p. Klemenczak z Montceau 5 (40—825), p. Antoniewicz z Montceau 6 (43—710), p. Molenda z Le Creusot 11 (43—620), p. Julkowski z St. Valliers 21 (30—475), p. Brzowski z Montceau 23 (26—440), p. Kochanek z Montceau 25 (28—420). W kat. eliminacji narodowej p. Molenda z Le Creusot był 6 (79—1370), p. Kaczmaliak z Le Creusot 11 (67—1135), p. Kochanek z Montceau 15 (61—1030), p. Antoniewicz z Montceau 9 (57—955), p. Strutyński z Montceau 20 (58—950), p. Brzozowski z Montceau 23 (52—795), p. Kaczorowski z Le Creusot 29 (50—790).

SZACHY

BRUAY-en-ARTOIS. Miejscowi szachiści zgrupowani w stow. „Le Cercle d'Echecs” odbyli ostatnio swoje doroczne walne zebranie. Na prezesa honorowego został wy-

brany p. Genia, a aktywnego p. Biniek; sekretarzem p. Stawiarski, wiceprezesem i odpowiedzialnym za zawody p. Lewandowski; skarbnikiem p. Cambier, zast. skarbnika p. Rogoziński; delegatem do sekcji młodzieżowej p. Kaczmarek. Do konkursu ogólnofrancuskiego w Monako zostali wyznaczeni p. Edmund Stawiarski i p. Kaczmarek. W konkursie wewnątrzno-klubowym udział zgłosili p. Biniek, p. Lewandowski, p. Stawiarski, p. Bartkowiak, p. Lacheta, p. Stoczek, p. Rogoziński, p. Paweł Lewandowski, p. Michalski, p. Jeanblanc i p. Dassonval.

EGZAMINY
STENOGRAFICZNE

DOUAL. W ramach ostatnio przeprowadzanych egzaminów dyplomy w zakresie 75 słów otrzymały: p. Joelle Breńska, p. Teresa Kasprowska, p. Liliane Mačkowiak, p. Jeanine Matysiak, p. Cecylia Szymczak. W kategorii 100 słów: p. Nadine Bachorz, p. Françoise Kralka, p. Edith Piechota; 110 słów: p. Marie-José Grzegorzczak, p. Annie Gorczyca.

KĄCIK HODOWCY
GOŁĘBI

NOEUX-les-MINES. Miejscowe stow. hodowców gołębi „Le Siege Unique” ogłosiło podsumowanie całorocznych zawodów. W kat. „au plus de prix en dessous de Paris” p. R. Kubas jest drugi, p. T. Muslewski — szósty, p. A. Terek — dziewiąty, p. E. Kowalski — piętnasty; w tej samej kat. ale „au dessus de Paris”: p. W. Borowczyk jest drugi, p. A. Jędrzejczak — szósty, p. E. Kowalski — dziesiąty. W kat. „au plus de premiers prix” p. Kubas jest trzeci, p. Muslewski — czwarty i p. Jędrzejczak — piąty. Mistrzostwo w kat. „au plus de prix” zdobył p. Jędrzejczak. Dalsze miejsca zajęli: p. Kowalski, p. Muslewski (8), p. J. Jankowski (13), p. F. Podleśny (18). W zestawieniu wszystkich konkursów — p. Kubas jest drugi, p. Jędrzejczak — trzeci, p. Terek — piąty, p. Muslewski — ósmy, p. Kowalski — dziesiąty. Bony honorowe ofiarowane przez firmę „Leroy-Merlin” otrzymali: p. Muslewski, p. Terek, p. Borowczyk, p. Jamkowski i p. Kowalski.

SOKOLI z NOEUX
PRZED 47
SWĄ ROCZNICĄ

W Noeux-les-Mines odbyło się ostatnio zebranie Towarzystwa Gimnastycznego „Sokol”, organizowane co pół roku. Zebraniu przewodniczył p. Franciszek Krywański.

Liczni na zebraniu Sokoli omówili obszernie dotychczasową działalność organizacji a także plany pracy na przyszłość. Postanowiono m. in. zorganizować w Noeux-les-Mines obchód z okazji jubileuszu Towarzystwa — 47 rocznicy założenia. W uroczystości wezmą udział liczne stowarzyszenia i organizacje społeczne z okolic.

Ustalono również dni i godziny ćwiczeń, które obecnie — po zakończeniu okresu wakacyjnego — odbywać się będą znów regularnie.

NASZA KRONIKA RODZINNA

NIECH ZDROWO ROSNĄ!

Rodziny naszych Rodaków powiększyły się. Ostatnio urodzili się:

LIBERCOURT: Franek Lewandowski, David Kapral, Benedicte Malecki i Nathalie Kędzióra. **AUBY:** Corinne Adamczyk. **VARVIN:** Sybille Partyka. **MARLES-les-MINES:** Yannick Pietrowski. **DOUAL:** Waleria Łyskawa, Isabelle Głowacka, Cathy Kwiatek i Anne-Dominique Izdorczyk. **MONTIGNY-en-OSTREVENT:** Eric Nowakowski, Jean-Christophe Macki i Fabienne Markowiak. **BRUAY-en-ARTOIS:** Alain Zawadzki i Christian Zawadzki. **ANNEQUIN:** Stefan-Franciszek Polowczyk i Weronika Jabłońska (Bully-les-Mines). **CAMBRAI:** Sabina Skoczynska. **BETHUNE:** Isabelle Gola i Christophe Przybyła. **HARNES:** Marylene Moszczyńska. **MEURCHIN:** David Jędrasik. **LOISON-sous-LENS:** David Mačkowiak. **SALLAUMINES:** Natalia Kruzel. Szczęśliwym Rodzicom życzymy dużo pociechy z najmłodszych!

STO LAT DLA NOWOŻEŃCÓW!

Ku radości rodzin i przyjaciół małżeństwa zawarli ostatnio:

CARVIN: Anne-Marie Pawłowska i Romain Payen; Liliane Necka i Bernard Callot. **AUBY:** Helena Sobańska i Edward Mačkowiak. **NOEUX-les-MINES:** Monika Mytyaszczuk i Raymond Krzywański. **LENS:** Arlette Vas-seur i René Kubicki. **PECQUENCOURT:** Janina Wawryczek i Helmut Drag. **LIBERCOURT:** Roselyne Dubremetz i Paweł Gorsz-

ka; Joelle Noisier i Stefan Karpiński, Teresa Ziółkowska i Mohamed Slimani; Liliane Molska i Guy Debrulle, Evelyne Gromadzka i Abdelaziz Berek; Marie-France Hauterive i Ryszard Król; Thérèse Guillard i Bernard Tabacki; Thérèse Vogt i Raymond Tomczak oraz Marie-Claude Sion i Henryk Szczebara.

Z ŻALOBNEJ KARTY

Z żalem donosimy, że ostatnio odeszli spośród żyjących:

AUBY: Stanisław Góra, lat 49 i Romania Marzec z domu Urbańczyk, lat 67.

DOUAL: Jan Klomosek, lat 75.

WAZIERS: Jan Wojciechowski, lat 57, medalista pracy, były kombatan.

DROCOURT: Helena Wasiak z domu Szafoni, lat 59.

LENS: Antoni Kowalski, lat 75 i Felix Lipkiewicz, lat 58.

MONTIGNY-en-OSTREVENT: Etienne Szoszorek, lat 60, Maria Kubiaczyk z domu Krzywiński, Marianna Sliwa z domu Rybarczyk, lat 72; Antoni Mutryn, lat 59 oraz Stanisław Kierczyński, lat 73.

SALLAUMINES: Elżbieta Woźna z domu Szczesna.

SIN-le-NOBLE: Maria Ganczarek z domu Mucha, lat 52.

SANVIGNES-les-MINES: Alexander Wiśniewski, lat 81.

NOYELLES-sous-LENS: Wiktoria Więzik z domu Kazubska.

BRUAY-en-ARTOIS: Agnieszka Pakulska z domu Żywocka.

AVION: Stanisława Szmytkiewicz, lat 74.

Rodzicom Zmarłych składamy serdeczne wyrazy współczucia.

OGŁOSZENIE

Recherche serveuse même débutante de 22 à 30 ans. Nourrie, logée, pour restauranter 40 km Paris. S'adresser à Mr KOCHOWSKI — "Rôtisserie Les Deux Lions" LA CHAPELLE S/CRECY EN BRIE (S.-et-M.).

Rozrywki umysłowe

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15
A	1		2		3		4		5		6		7		8
B		3					9								
C															
D	10								11						
E															
F	12				13		14				15				
G															
H	16		17							18					19
I															
K	20						21				22		23		
L															
M	24				25				26		27				
N															
O	28														
P									29						

KRZYŻÓWKA Z PRZYSŁOWIEM

POZIOMO: 1) oszukańczy fortel, 9) człowiek zachowujący się inaczej niż inni, dziwak, dziwoląg, 10) gnicie, psucie się lub plan jazdy pociągów, 11) płaz ziemnowodny z ogonem, tryton, 12) kłamra żelazna do spinania pękających murów, 14) spór, zwada, scysja, 16) król polski, który zastał Polskę drewnianą a zostawił murowaną, 20) podstawa budowli, podwalina, 22) bicie serca, puls, 24) pułkiel, lok wijących się włosów, 26) propaganda handlowa, 28) suszone i wędzone twarde serki owcze, 29) siła, tężyzna, sprężystość.

PIONOWO: 1) pułapka do chwywania zwierząt, 2) mały dach, 3) urządzenie holowane przez okręt do wykrywania i niszczenia min podwodnych, 4) mieszkanie tuż pod dachem,

facjatka, 5) niefachowiec, niespecjalista, dyletant, 6) wartość pieniężna, 7) jedna z kości goleniowych, 8) mur dzielący sąsiednie mieszkania lub urwisty stok góry, 13) siły zbrojne, 15) kraj piramid nad Nilem, 17) miejsce pod ubraniem na piersi, pazucha, 18) usunięcie śladów przestępstwa, zamazanie, 19) odosobnienie, odseparowanie, 20) usłużny pośrednik niższego rzędu, stręczyciel, 21) kontynent zrosnięty z kontynentem azjatyckim, 23) ser chudy z kwaśnego mleka, 25) imię męskie, 27) wiszące łóżka marynarskie.

Przysłowie utworzą litery wypisane w następującej kolejności: H-1, A-5, B-7, M-4, F-3, B-10, K-6, A-1, F-4, I-15, P-9, F-7, K-9, L-1, O-11, K-7, N-1, I-9, M-1, B-13, B-9, O-2,

M-5, M-2, D-12, D-9, F-1, O-15, P-11.

Rozwiązania prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali bezbłędne rozwiązania, zostaną rozdane

NAGRODY KSIĄŻKOWE

ROZWIĄZANIE SZYFROGRAMU Z N-RU 35

Książka nierozdzielny towarzysz, przyjaciel bez interesu, domownik bez naprzykrzania, do niej się w każdej porze udać można... (Ignacy Krasiński)

KLUCZ POMOCNICZY: anons, brzytwa, rzep, szczyt, mina, zamieć, pedzel, kijek, jądro, ruina, Opole, kźniwa, beż, jeź, dno, wiadro, kiery, kino, zez, uszy, dzik, ara, sen.

Bierz przykład z zółwia i inne dowcipy z lat okupacji Polski

Był rok 1943. Najzupełniej niespodziewanie na warszawskim bazarze pod Żelazną Bramą pojawiły się w sprzedaży zółwie. Wszyscy warszawiacy zastanawiali się skąd one pochodziły. Wersji było co niemiara. Niektóre nawet wprost niewiarygodne. Na przykład jedna z nich z uporem twierdziła, że to warszawscy handlarze zdołali na lewo upłynnić cały transport zółwi wziętych podobno z Grecji do Rzeszy na konserwy. W każdym razie po pewnym czasie cała Warszawa była zawałona zółwiami, a w kilka dni później inne miasta tak zwanego Generalnego Gubernatorstwa. W ten sposób uczyniono jeden krok do zółwia symbolu. Rysunkiem zółwia pokryte były mury fabryk, płoty, mury domów. Rysunek zółwia wzywał: pracuj powoli. Rysunek zółwia nakazywał: bierz przykład z zółwia.

Natychmiast też powstał jeden z najcenniejszych i najbardziej ciętych dowcipów.

Warszawiak do warszawiaka:
— Wiesz, że te zółwie są z Afryki.
— Co ty powiesz, z Afryki? Jakim prawem w Warszawie?
— Nie rozumiesz? Z Anglikami się założyły, kto przedzie przyjdzie do Europy.

Kilku przyjaciół w minorowych nastrojach spotyka się w kolejkę. Milczą. Jeden patrzy na współkolegów, wrusza ramionami i pluje przed siebie. Inni robią to samo. Wreszcie ten czwarty odzywa się zniecierpliwiony:
— Przestańcie panowie już wymyślać na tego Churchilla!

Do nieba puka dwudziestu lotników niemieckich. Zza bramy pada pytyknie:
— Kto?
— Niemcy.
— Skąd?
— Z frontu wschodniego.

Święty Piotr sprawdza komunikat w prasie niemieckiej i krzyczy.
— Kłamstwo, stracono tylko trzech. Reszta wynocha stąd.

A oto uliczna piosenka warszawska:

„Czego ty Hitlerze uciąż pod Moskwą stoisz? Czy na Włocha czekasz, czy się Ruska boisz? Na Włocha nie czekam, Ruska się nie boję, D... mi przymarza więc pod Moskwą stoję.

Znane są też fakty, że na bazarach warszawskich niemal wszyscy sprzedawcy wołali:

— Rabanka staniata! Jeszcze świeża, prosto spod Stalingradu! Komu? Komu?

— Styszałeś pan, panie Koziotek, ostatnią wiadomość?
— A co się stało, panie Zółtko?
— Mówią, że Hitler zajął Nowy Jork i Chicago.
— A nie mówili. Dokąd jeszcze Hitlera ten Churchill zaprowadzi.

— Panie Zółtko, pyta pan Koziotek, co właściwie u licha oznacza ta cała litera V?
— Nie udawaj pan, panie Koziotek. Verfał di Klaczkes, panie Koziotek.

— Panie Zółtko, pan to na pewno wiesz, co znaczy to całe ich V?
— Ech, panie Koziotek, coż pan nie dzisiejszy. Pewnie, że wiem. Piątą klasę loterii — bo milton ich padł...

W roku 1944, gdy front zatrzymał się na Wiśle, Niemcy wszystkimi sposobami przymusu i terroru spędzali ludzi do budowy tzw. „wału wschodniego”. Miała to być gigantyczna fortyfikacja składająca się z szeregu okopów strzeleckich, zapór, rowów przeciwpancernych, pól minowych. Tu miała na zawsze ostać się wschodnia granica Rzeszy.

Warszawa jednak mimo wszystko miała inny pogląd na ten temat.
— Wiesz — mówi warszawiak — Ruski będą ten wał zdobywać godzinę i pięć minut?
— Dlaczego właśnie tyle?
— Bo te pięć minut będą zdobywać, a przez godzinę będą się śmiać.

Taką to była ta Warszawa, miasto nigdy nieujarzmione, zdawało się może zmęczona, a jednak walcząca także do ostatniego słowa humoru. (Zestawił V)

TV DU 21 AU 27 SEPTEMBRE

PREMIER CHAINE

TELE-MIDI — 13.00, TELE-SOIR — 20.00, TELE-NUIT — à la fin du programme.
ACTUALITES REGIONALES — 19.15 (sauf le dimanche)
DERNIERE HEURE — 18.25 (sauf le dimanche)
"TROIS ETOILES" — 12.30 (sauf le dimanche)
"CANDICE CE N'EST PAS SERIEUX" — 13.20 (sauf le dimanche)
AUTOMNE-MAGAZINE — une émission de Georges Folgoas — 19.00 et 19.35 la suite — (sauf le dimanche).

DIMANCHE 21 SEPTEMBRE.

9.10. Télé-Matin.
12.02. La séquence du spectateur.
13.15. "Flippel le dauphin".
14.05. Variétés — Festival de Provins — une émission de Michèle Arnaud
14.55. Eurovision: championnats d'Europe d'athlétisme à Athènes.
16.20. "Le chat du printemps" — un film de Robert Z. Leonard (Jeanette MacDonald, Nelson Eddy, John Barrymore).
18.30. Bonnes adresses du passé — "Léonard da Vinci".
19.30. "Le trésor des hollandais".
20.50. "Austerlitz" — un film d'Abel Gance (Pierre Mondy, Rossano Brazzi, Martine Carol, Vittorio De Sica, Anna-Maria Ferrero, Jean Marais, Jack Palance, Michel Simon, Orson Welles, Jean-Jouis Trintignant etc.)
22.20. Occitanie, terre Cathre nr 1 réal. Cl. Dagues.

LUNDI 22 SEPTEMBRE.

18.30. Magazine féminin.
20.30. "Daktari".
22.05. L'Album Souvenir nr. 4 et fin: "10 ans de joie de vivre" une émiss. d'Henri Spade.

MARDI 23 SEPTEMBRE.

13.40. Je voudrais savoir.
20.30. "Vieille France" — chronique d'un village vers les années 1930 d'après Roger Martin-Du-Gard, André Michel.
21.50. Eureka — "Découvertes scientifiques sous Napoléon" — une émiss. de Michel Treguer.

MERCREDI 24 SEPTEMBRE.

20.30. A bout portant... une émission de J. et F. Gall — Les Compagnons de la Chanson.
21.20. L'Écran musical.
22.05. Journal de voyage en Pologne — "Grotowski" une émission de Jean-Marie Drot.

JEUDI 25 SEPTEMBRE.

18.30. La séquence du jeune spectateur.
20.30. Panorama.
21.30. Les envahisseurs nr. 4.
22.20. La piege à verité — une émission du Serv. de la Recherche.

VENDREDI 26 SEPTEMBRE.

12.00. La source de vie — "Hosannah"
18.30. Tourisme et loisir.
20.30. Procès de Napoléon, 2me partie.

SAMEDI 27 SEPTEMBRE.

18.30. Accords d'accordéon.
20.30. Cavalier seul.
21.15. "Le desert de l'amour", d'après le roman de Francois Mauriac, réal. Pierre Cardinal.
22.50. "Les conteurs" — une émiss. d'André Voisin.

DEUXIEME CHAINE — COULEUR.

(C) — couleur, (CN) — couleur et noir et blanc, émissions sans aucune mention sont exclusivement en noir et blanc.
COLORIX — EMISSIONS POUR LES JEUNES (C) — 18.55. (sauf le dimanche)
ACTUALITES REGIONALES ET COURT METRAGE (C) — 19.15. (sauf le dimanche)
TELE-SOIR-COULEURS (C) — 19.35.
TELE-SPORTS (C) — 19.55. (sauf le dimanche).

DIMANCHE 21 SEPTEMBRE.

14.30. (C) L'Amour de l'art.
14.55. (C) "A main armée" — un fikl de Jack Lee.
16.35. (C) Pique-Nique.
18.35. Eurovision: championnats d'Europe d'athlétisme à Athènes.
20.00. (C) Le cheval de fer.
20.50. Musique pour vous
21.50. Chansons du bout du monde —

LUNDI 22 SEPTEMBRE.

20.00. (C) Monsieur Cinéma.
21.10. (C) Festival de Western: "L'homme qui n'a pas d'étoile", un film de King Vidor.

MARDI 23 SEPTEMBRE.

20.00. (C) "D'Iberville".
20.30. (C) Point Contrepoint.
22.00. (C) Clio, les livres et l'histoire — "Nice 1969".
23.00. (C) Coda — "Phase-clé" — une émiss. de Philippe Prince.

MERCREDI 24 SEPTEMBRE.

20.00. (C) Les animaux du monde.
20.30. (C) Les dossiers de l'écran. Film. Debat.

JEUDI 25 SEPTEMBRE.

20.00. (C) Le mot le plus long.
20.30. (C) "La Femme femme" — comédie musicale de J. P. Ferriere et Ricet-Barrier, réal. Odette Collet.
21.30. (C) "Arcana" — connaissance de la musique. — "La guitare".
21.55. (C) Nocturne, avec le concours de Narciso Yepés.

SAMEDI 27 SEPTEMBRE.

20.00. (C) Au rendez-vous des pêcheurs.
20.30. (C) Variétés: Air du temps — "Napoléon" nr. 1 — une émission de Maurice Dumay.
21.30. (C) Ce monde étrange et merveilleux.

Tygodnik Polski
LA SEMAINE POLONAISE
23, rue Taitbout, Paris IX
Tel.: TAI 76-44, TAI 76-51
C.C.P. 92.20 - 76 Paris

34/7 rue Chauteur-Lodelinsart
Mme OI, Kuc
C.C.P. 66.69.45 Belgique
Cena prenumeraty:

kwartalnie: 7 F. — 70 Fr. B.
półrocznie: 12 F. — 120 Fr. B.
rocznie: 20 F. — 210 Fr. B.

Président Directeur
Général: Danuta
JAGOSZEWSKI Biensaimé

IMPRIMERIE
Zakłady Graficzne „Tamka”,
Zakł. nr 1, Varsovie, Tamka 3.

B. DOWOJNA-BIENAIMÉ
TŁUMACZKA
PRZYSIĘGŁA
PRZY WYŻSZYCH
SĄDACH W PARYŻU
Tłumaczenia urzędowe

ważne w całej Francji
23, quai de la Tournelle
PARIS (5^e)
TELEFON: ODeon 41-17
METRO: PONT-MARIE

AVANT de paraître sur les écrans de Pologne, le plus récent film de Andrzej Wajda fut présenté à Cannes au festival de cette année. Certains critiques considéraient que Wajda „avait fait un pas en arrière” en tournant une comédie. C'était là une injustice. En effet, pourquoi un réalisateur de films à sujets sérieux ne pourrait-il pas tourner une comédie?

Dans „La chasse aux mouches”, tout comme dans „Tout à vendre”, le metteur en scène Andrzej Wajda puise à pleines poignées dans la vie les scènes de son film. C'est sans doute par le fait qu'il aborde des sujets profondément enracinés dans la vie de tous les jours que ce film irrite certains optimistes satisfaits de la vie contemporaine.

Relevons aussi dans „La chasse aux mouches” le jeu admirable de Małgorzata Braunek — étoile montante du cinéma polonais — candidate au prix de la meilleure actrice au festival, attribué en définitive à Monica Vitti.

**Pierwsza pełnometrażowa
komedia Wajdy**

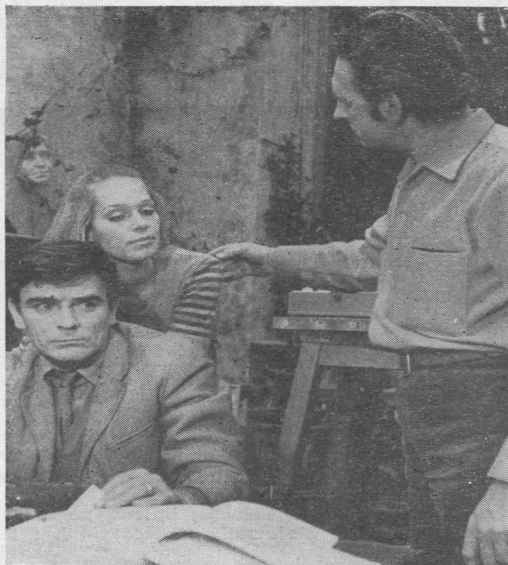
MAŁGORZATA BRAUNEK W „POLOWANIU NA MUCHY”



Małgorzata Braunek symbolizuje w roli Ireny energię kobiety przeciwstawionej niezaradnemu mężczyźnie



Włodek (Malanowicz) jest ofiarą mocnych, zdecydowanych kobiet



Reżyser Andrzej Wajda omawia kolejną scenę z głównymi bohaterami — Ireną i Włodekiem



Matka i córka w życiu prywatnym i na ekranie: Hanna i Ewa Skarżanki.

Zanim ukazał się na ekranach w Polsce, najnowszy film Andrzeja Wajdy wyświetlany był w Cannes na tegorocznym festiwalu filmowym. Przyjęty został dosyć chłodno, wielu krytyków zarzucało Wajdzie, że... „cofnął się”, biorąc za temat komedię. Było w tym wiele niesprawiedliwości. Niby dlaczego twórca, który przyzwyczaił swych wielbicieli do poważnej tematyki swych filmów, nie ma mieć prawa do realizowania filmu lżejszego? Inna rzecz, że „Polowanie na muchy” trafiło do Cannes nieco nieszczerliwie; program festiwalu przytłoczyły w tym roku dzieła poruszające tematy wielkie i zasadnicze dla dzisiejszego świata, takie jak francuski „Z” odsłaniający kulisy faszystowskich rządów w Grecji czy angielski „Jezeli...” bezlitośnie krytykujący społeczne nierówności w systemie wychowania.

Tymczasem „Polowanie...” nie sięga w swym temacie tak wysoko. Owszem, krytykuje, i to wcale ostro, ale zjawiska mniejszej wagi, i do tego takie, które w Polsce mają zupełnie inne wymiary niż na przykład we Francji.

Jest to bowiem satyra na neodrobniomieszczaństwo, zjawisko społeczne, które zrodziło się w Polsce w okresie rosnącego dobrobytu i stabilizacji materialnej ostatnich lat. Trudno nazwać owo środowisko „warstwą społeczną”; jest to raczej margines wielu różnych środowisk, bardziej cecha umysłowa niż problem ekonomiczny. Polega głównie na irracjonalnym kulcie przedmiotu oraz na nadawaniu większego znaczenia działaniu niż celom, do których owo działanie prowadzi. Taki osobnik ocenia ludzi według walurowi marki samochodowej, a szaloną energię, spryt i wysiłek, dzięki którym mógłby dokonać rzeczy wielkopomnych, wkłada na przykład w... zdobywanie pary modnych czy najbardziej oryginalnych okularów przeciw-słonecznych wcześniej niż inni znajomi. Taki osobnik nie chodzi na dancing po to, by się zabawić, ale po to, by spotkać się z kimś „ważnym”, coś załatwić, coś namotać... Tacy ludzie zaludniają światek portretowany przez Wajdę.

Oglądamy to środowisko oczyma człowieka z zewnątrz. Jest nim Włodek (Zygmunt Malanowicz), trzydziestoparoletni urzędnik jakiejś firmy eksportującej książki. Jego kariera życiowa została zwichnięta na samym początku. Nie ukończył studiów, nie ma właściwie zawodu, dni spędza na bezmyślnym wypisywaniu zawsze takich samych listów, a w domu (ożenił się bardzo wcześnie) — wszechwładnie rządzi kobietą. Żona Włodka i jej matka, podobne do siebie jak krople wody, nie dostrzegają w ogóle

istnienia mężczyzn w tym domu. Teść Włodka, emeryt, spędza dni przed otwartym na stałe telewizorem.

Któregoś wieczoru Włodek ma już wszystkiego dosyć. W odruchu rozpaczliwego buntu — wychodzi do miasta. Jest przede wszystkim zdumiony tym, że mu się w ogóle udało wyrwać, potem zaczyna dostrzegać innych ludzi. Wydają mu się ciekawi, żyjący „naprawdę”. Błądzi ulicami, którymi chodził jako student — i wtedy właśnie spotyka Irenę.

Dwudziestoletnia Irena (Małgorzata Braunek) pochodzi z jakiegoś małego miasteczka, studiuje polonistykę, ale nie ma w niej cienia prowincjonalnych kompleksów. Jest bardzo pewna siebie, modnie ubrana, energiczna... fascynująca! Irena zwraca na Włodka uwagę, wydaje jej się tak inny od kolegów: starszy, zrównoważony, porażony jakimś smutkiem i zrezygnowaniem. Dochodzi do wniosku, że drzemia w nim nie odkryte talenty, a jej misją jest wydobyć ich na powierzchnię. Postanawia, że Włodek zostanie sławnym tłumaczem i z niepowstrzymaną energią zaczyna organizować mu karierę. I oczywiście znów zdanie Włodka się nie liczy...

Tragikomiczne dzieje „kariery” nieszczęsnego urzędnika wypełniają drugą część filmu. Poznajemy w niej mnóstwo osób znanych doskonale z warszawskiego „beau-monde’u”; czasem grają sobie samych, czasem — co jeszcze zabawniejsze dla wtajemniczonych — inne, również znane osobistości. Na przykład popularna spikerka warszawskiej telewizji Irena Dzie-dzic gra naczelną redaktorkę kobiecego magazynu; sławny bokser Leszek Drogosz — milicjanta; ulubiony piosenkarz Marek Grechuta — synalka wysoko postawionego papy itp.

Podobnie jak we „Wszystko na sprzedaż” Wajda wiele scen tego filmu zaczerpnął bezpośrednio z życia. Dlatego „Polowanie na muchy” jest tak mocno osadzone w naszej codzienności, dlatego tak drażni niektórych zadowolonych z siebie optymistów. I może także dlatego jego walory uszły uwadze krytyków z Cannes poza jednym: wspaniałą grą młodziutkiej Małgorzaty Braunek, wschodzącej gwiazdy polskiego kina, która kandydowała do nagrody aktorskiej na tym festiwalu, przyznanej ostatecznie Monice Vitti.

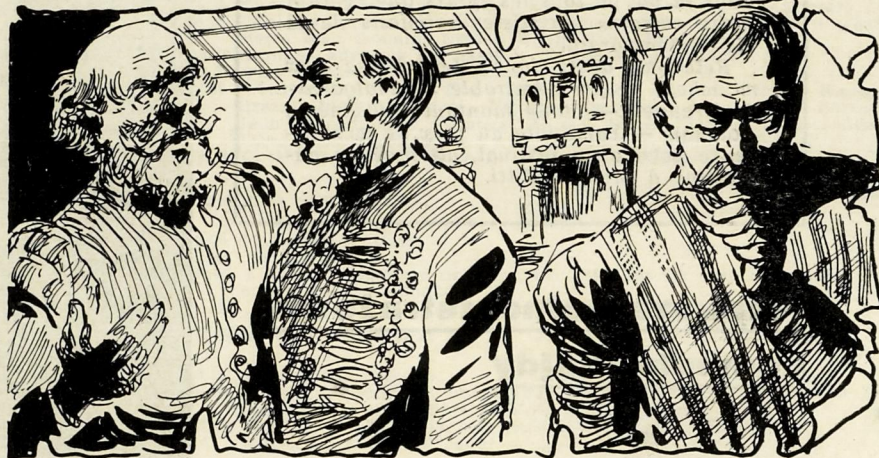
A tytuł? Jest dosłowny: teść Włodka ma manię łapania much, cały dom zawiesza lepami, w których wszyscy się płaczą bezsensownie. To bezmyślne działanie emeryta przeciwstawiono pozornej energii i aktywności młodych... Ale gdy się dobrze przyjrzeć, to okaże się, że ich usilna pogoń za złudnymi błyskotkami też przypomina bardzo polowanie na muchy...

Oskar SOBAŃSKI

Małżeństwo Pana Paska

W POSZUKIWANIU NARZECZONEJ

Powieść rysunkowa „Małżeństwo Pana Paska” jest jakby kontynuacją poprzedniej naszej powieści rysunkowej pod tytułem „Kawaleria na okręty”, chociaż tematycznie zasadniczo się od niej różni. Oparta jest jednak na tych samych autentycznych źródłach, szczególnie zaś na Pamiętnikach Imć Pana Jana Chryzostoma Paska z Gosławic, który żył w XVII wieku, należał za młodu do wybitnych rycerzy Stefana Czarnieckiego, i odbył z nim wyprawę do Danii przeciw Szwedom, na starość zaś zajął się gospodarstwem, polowaniami, sejmikowaniem, hulankami i uczestniczył w niejednej awanturze. Pamiętniki Paska uznane zostały przez historyków za jeden z najcenniejszych polskich dokumentów obyczajowych z XVII wieku.



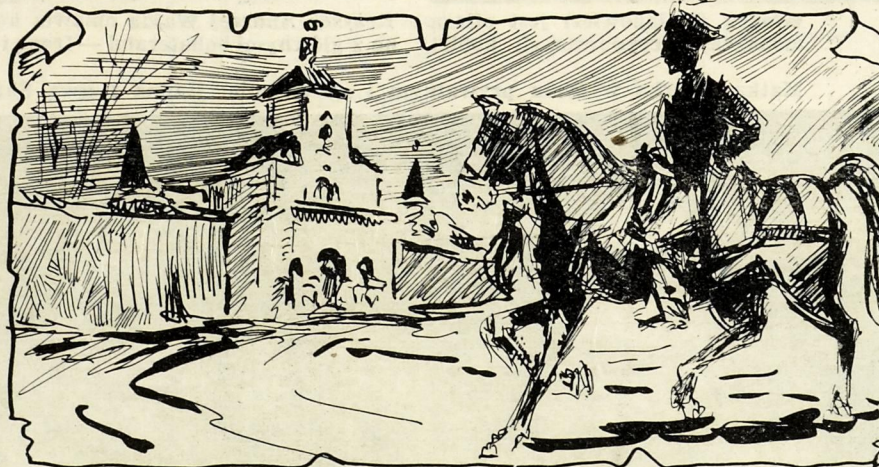
Dziesięć lat wojaczki z wrogami Rzeczypospolitej, przemierzenie Europy wzdłuż, odwaga i poświęcenie w bitwach, narażanie życia dla narodowej i królewskiej chwały — prócz śladów po ranach — nie przyniosły Imć Panu Janowi Paskowi z Gosławic żadnych korzyści. Eupy wojenne nie na długo starczyły, a wioski od króla, na którą w skrytości ducha zawsze liczył, nigdy się nie doczekał. W roku 1667 przybył do Węgrzynowic w Ziemi Rawskiej, gdzie jego rodzice gospodarzyli majątkiem, ale nie własnym, lecz dzierżawionym; zaczął pomagać starym ojcom, a przy tym odwiedzał znajomych, sąsiednie dwory, brał udział w kuligach i szlacheckich zjazdach; marszałkował nawet rawskiemu kołu rycerskiemu; nie gardził okazją do wypicia, hulanki i zabawy

Zaprzyjaźnił się przy tym z panem Janem Lipskim — wojewodą rawskim i panem Piotrem Sładkowskim — wówczas chorążym rawskim i kasztelanem sochaczewskim. Obaj radzi widzieli go w swych domach, nieraz tygodniami zatrzymując na zabawach i hulankach. Obaj też chcieli go jak naprędzej ożenić, od czego zresztą Pan Pasek wcale się nie wzbraniał, lecz przeciwnie — dawno o tym myślał. „O, gdzie te czasy — nieraz wspominał — kiedy to będąc w rycerskim fachu biatogłowy garnęły się do mnie i chciały ze mną iść na koniec świata”; on zaś — gnany wojenną przygodą i potrzebą, zostawiał je w rozczarowaniu. Teraz zaś tak się składało, że gdy wojewoda wymyślił dla Pana Paska partnerkę, to jego plany pokrzyżował pan Sładkowski



„Chciał mię wojewoda żenić z Radoszowską — opowiada Pasek — a Sładkowski gwałtem ciągnął do panny Sładkowskiej, dziedziczki i jedynaczki, która miała wieś Bożą Wolę, bez najmniejszego długu, za którą ojciec jej dał 70 000, kiedy jeszcze czerwone złote były po złotych 6”. I obaj nawzajem psuli Paskowi konkury. „Sładkowski na Radoszowską powiedział, że miała matkę swawolną występnicę”, no i że córka może to przenieść. Wojewoda natychmiast się odważemnił i wydał opinię o Sładkowskiej: „Cóż to, choć ma 70 tysięcy, kiedy sama panna ma różne wady, zła jako jaszczurka i bez mała nie pobija, a tobie trzeba żony z dobrymi obyczajami. Jeżeli ci się Radoszowska nie podoba, to inaczej pomogę, ale ze Sładkowską żenić ci się nie dam!”

Pasek tymczasem wcale nie był zdecydowany. Nie miał nic przeciw Radoszowskiej, ale z drugiej strony chwilami bardziej za serce chwytala go Sładkowska. „Bo tam o jej wiosce powiadali — dowodził — że nie tylko pszenica ale i cebula w polu na każdym zagonie, gdzie posiejesz, urodzi się; a mnie też apetyt bardziej pociągał do tłustej gleby niżeli do gołych pieniędzy”. Ale obaj przyjaciele czuwali. Nie spuszczała Paskę z oczu. „Jak mnie chwycili — dowiadujemy się od samego Paska — to musiałem przez trzy i cztery niedziele u nich mieszkać. A jeżeli do rodziców pojechał, to zaraz poseł od tego, u którego dawniej byłem, po mnie przyjeżdżał. Niczego beze mnie nie odprawiali. Wojewoda na weselach i przenosinach miał mię prawie za swego”



Ani ze Sładkowskiej, ani z Radoszowskiej nic nie wyszło. I choć każdy z przyjaciół do żeniaczki Paska wszystko przygotowywał według swego wyboru, to drugi — fortelami rzecz pokrzyżował. Żeniaczka ze Sładkowską tak była przygotowana, że już księżda sprowadzono i Pasek był na małżeństwo zdecydowany — zresztą nie po raz pierwszy w życiu — i wszystko się rozwiązało. Niedoszła pani Paskowa opowiadała później na pewnym weselu, kiedy ją o małżeństwo z Imć Paskiem pytano: „Lubo była Wola Boża (czyli wieś na wiano), to przecie nie było woli Bożej”. I chociaż Pasek jeszcze z niej nie zrezygnował, to jego protektor musiał jako poseł pojechać do Warszawy, pannie zaś umarła matka i obowiązywała ją żałoba, a kawaler nie chciał z żeniączką czekać

Kiedy więc odwiedził go pan Jędrzej Romieszewski, mający za żonę Paskównę z domu, stryjeczną siostrę naszego Paska, i zaczął mu doradzać swoją krewniaczkę Romieszewską, młodą wdowę w Krakowskim, mającą dożywcio na jednej ze wsi, Pasek zdecydował się szybko na wyprawę z Mazowsza w Krakowskie. Do Olszówki najpierw pojechał Romieszewski, a Pasek do swego wuja Wojciecha Chocińskiego, by zabrać go wraz z synem na świadków i do pomocy w podjęciu decyzji. Umyślił sobie to w ten sposób: „Nie damy za to nic, gdy tej wdowie przypatrzymy się; wszak mam inną okazję gotową, jeżeli ta nie będzie mi się zdała, bo panny Sładkowskiej pewnie przede mną nikt nie weźmie”. I tak rozważywszy pojechał w towarzystwie do Olszówki